

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 złr.—półrocznie
4 złr.—kwartalnie 2 złr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr.—kwartalnie
1 tal. 8 sgr.
we Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Plac
kapitulny Nr. 7.

ŚWIT

Główna agencja na W.
Ks. Poznańskie w księgarni
J. K. Żupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadsełanie Redak-
cji egzemplarzy takowych.

Listy niefrankowane
nie przyjmują się.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: Tryumf proletaryuszów, przez A. Mickiewicza z wstępem Agatona Gillera. — Wyrocznia, przez Adama Pajgerta (wiersz). — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa. — Goethe i Descartes, studium przez dr. A. Zgórskiego. — Radziwiłł w gościnie, anegdota dramatyczna w 3 aktach, przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd literacki. — Korespondencje: z Krakowa. — Przegląd teatralny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Przegląd muzyczny — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

Od redakcyi.

W piśmie naszym biorą udział: **Michał Bałucki, dr. Adam Belcikowski, Berlicz Sas, K. S. Bodzantowicz, Agaton Giller, J. I. Kraszewski, Władysław hr. Koziebrodzki, dr. Ludwik Kubala, dr. Karol Libelt, Julian Ochorowicz, Adam Pajgert, Mieczysław Pawlikowski, Tadeusz Romanowicz, dr. Gustaw Roszkowski, doc. pr., Władysław Sabowski, dr. Tomasz Stanecki, Juliusz Starkel, Henryk Szmitt, Lucyan Tatomir, Kornel Ujejski, Paulina z L. Wilkońska i inni.**

Lwów, dnia 1. Lutego 1872.

TRYUMF PROLETARYUSZÓW

przez

Adama Mickiewicza;

podał i wstępem objaśnił

Agaton Giller.

Najwyższe podniesienie ducha, które obdarza człowieka jasnym widzeniem prawd ciemnych dla pospolitego umysłu i wypadków, do jakich zwykł doprowadzać loiczny tychże prawd rozwój, nie przeczuwany przez rozumy materializmem ogarnięte, przyzwyczailiśmy się za tuzinkowymi krytykami nazywać „chorobliwym mistycyzmem.” Nic fałszywszego nad rozumienie rzeczy tą nazwą oznaczanej. Bywają wprawdzie mistyczny choroby, jak bywa wiara fałszywa,—ale ażeby każdy mistycyzm był oznaką choroby duszy, na to zgodzić się nie możemy.

Mistycyzm, czyli owo najwyższe, do jasnowidzenia przyszłości doprowadzające podniesienie ducha, jest właściwością głębokiej, rzeczywistej wiary. W czyjem sercu mieści się wiara, w takim ma swe siedlisko i mistycyzm. Gdzie go nie ma, tam napróżno szukalibyśmy wiary. Mistycyzm jest więc konieczną skłonnością duszy i przymiotem wiary. Tworzy on świat fikcyjny przesądów i zabobonów, jeżeli rozum wierzącego jest niewykształcony. Udziela jednak zdolności przeczuwania lub jasnowidzenia prawd i tajemnic stworzenia, jeżeli duch wierzącego jest potęgą samowiedną, siłą wyrobioną i mocą rozumną. Taki był mistycyzm Mickiewicza, o którym mówiąc krytycy dzieł wielkiego poety, wzruszają z żalu i ze zdziwienia ramionami.

A przecież, jeżeli wszyscy przyznają wiarę za szczególną właściwość geniuszu Adama, dziwić się nie powinni jego mistycyzmowi z wiary zrodzonemu. Umysł Mickiewicza widząc zawsze i wszędzie harmonię świata nadzmysłowego ze zmysłowym, łatwo ogarniał ogół moralnych zjawisk dla zwyczajnych rozumów niedostępny i ztąd

NA OKAZ.

wszystko co powiedział i co napisał jest tak głębokie, jak owa mistyczna harmonia i tak prawdziwe, jak całość wszystkich zjawisk. Wiara więc i jej wysoki, mistyczny kierunek, zasługuje na uznanie i zarazem na poszanowanie jako władza, co z naszego poety zrobiła wieszczka i proroka czasów.

Praca pana Łucjana Siemieńskiego „o religijności i mistyce” Mickiewicza chociaż oskarzana o uboczne cele poparcia ultramontanizmu powaga wielkiego poety, jest ważnem studium ułatwiającem zrozumienie natchnień poety. W wierze i w patryotyzmie wskazuje rzeczywiste ich źródło. Dwie te potęgi nie przedstawiają się atoli z owego studium w całej swej szerokości i mocy. Ortodoxyjność pana Siemieńskiego stanęła mu na przeszkodzie do wszechstronnego zbadania tych potęg. Wskazał je tylko, ale nie oznaczył rozwoju i zmian, które stanowią wewnętrzne dzieje tej wielkiej duszy, ztąd też napróżno byśmy szukali w jego pracy dokładnego scharakteryzowania mistyki Mickiewicza.

Zanim się kto znajdzie, co zdolnym się okaże do napisania zupełnej, na znajomości życia i duszy opartej monografii o Mickiewiczu, potrzeba tymczasem zebrać nie tylko wiadomości i spostrzeżenia od towarzyszków i przyjaciół poety, ale także poznać wynurzenia się i wylewy jego serca w listach i pismach, które do druku nie były przeznaczone. Syn poety, p. Władysław Mickiewicz, wydaje obecnie w Paryżu „Korespondencje” swego ojca. Jest to zbiór listów, pisanych do różnych osób, które stanowią drogocenny materiał do pracy, o jakiej mówimy. Prócz listów pozostały atoli jeszcze różne drobne



Cu. 354/1872

pisma i artykuły, które są urywkami z prac obszerniejszych a niedokończonych, a które zapewne ogłosi także, z chwalebną troskliwością zbierający po zmarłym ojcu wszystkie pamiątki Władysław Mickiewicz.

Oceniając jak należy zamiar syna, wydania wszystkich pamiątek po ojcu, przyjdziemy mu w pomoc, ogłaszając dwa ustępy dotąd niedrukowane, które posiadamy od p. Aleksandra Chodźki, najlepszego i najbliższego przyjaciela Adama i jego następcy na katedrze w *Collège de France*.

Było to zeszłego roku w Paryżu zostającym pod panowaniem proletaryatu. Z jednej jego strony stali Prusacy, niegdyś wazalowie Polski a dzisiaj pogromiciele Francji i pierwszorzędną potęgą świata, z drugiej strony Wersalczyści ciskali bomby na zbuntowany pod Komuną Paryż. Odgłos strzałów i bębnow mięszał się z sobą i wtórował dziką muzyką wypadkom, których ważność przerażała najbardziej leniwe umysły.

Byłem w odwiedzinach u zacnego przyjaciela Mickiewicza na ulicy Vaugirard. Rozmawialiśmy o nieszczęśliwej wojnie pruskiej i o nieszczęśliwszej, trwającej jeszcze wojnie domowej pomiędzy republikanami i proletaryuszami. P. Aleksander Chodźko, przytaczając charakterystyczniejsze szczegóły tych niespodziewanych i nieprzewidywanych przez nikogo wypadków, przypomniał sobie, iż posiada pismo Mickiewicza w którym wieszcz nasz przewidział upadek Francji, potęgę militarną Prus i demagogiczną zawieruchę. Były to dwa przez p. Chodźkę trzydzieści kilka lat temu przepisane z francuskiego rękopisy Mickiewicza, rozdziały obszerniejszej pracy, którą Adam zaczął pisać w Dreźnie 1831 roku, zaraz po upadku powstania polskiego.

Mickiewicz przeniesiony myślą w późniejsze czasy, podobnie jak znaną Gazetę Szawelską, pisał jakby historię przyszłych czasów, charakterystykę zamieszkań i burz, jakie poprzedzić mają utrwalenie konfederacji republikańskiej w Europie, a która to charakterystyka zdawała się wskazywać wypadki, na jakie właśnie patrzyliśmy.

Mówiliśmy, że w roku 1831 Mickiewicz przewidział dzisiejsze militarne znaczenie Prus. Król pruski przedstawiał się mu jako naczelny wódz armii niemieckiej a królowie saski i bawarski jako podkomendni mu jenerałowie. Francję widział zniszczoną, rozdieraną przez proletaryat szukający pomocy od konfederatów za Renem, proletaryat, który pojęcie równości posunął do skasowania nazwisk i imion, jako cech arystokratycznych; widział dalej Europę całą wzburzoną, przez kosmopolityczną rewolucję skonfederowanych ludów, walczącą ze starym, monarchicznym światem pod wodzą Prus. Pod Berlinem opisał bitwę, którą tam mają stoczyć rewolucja z monarchią. W bitwie zwyciężyła rewolucja. Co potem będzie?..... tu przerwał Mickiewicz opis swego jasnowidzenia, które najwidoczniej zamierzał umieścić w dziele, jakie przedsięwziął dla Francuzów napisać. Zamiaru później zaniechał, a w lat kilka potem, mówiąc o nim z przybyłym z Persyi Aleksandrem Chodźką, udzielił mu do przepisania owe dwa rozdziały, które przechowywały się u szan. profesora aż dotąd.

Kto się dobrze wczyta w owe rozdziały, które niżej w tłumaczeniu p. Jana Amborskiego podajemy, tego uderzy przede wszystkim charakter proroczy tego pisma. Nie jedyne to proroctwo Mickiewicza. Pominąwszy przepowiedziane w jego poetycznych pismach wskrzeszenie Polski, wiadome są liczne jego przepowiednie, które się już ziściły. Rodzina zmarłego króla Westfalskiego Hieronima posiada list pisany przez Adama w r. 1847, w którym przepowiadając rewolucję lutową w Paryżu r. 1848,

wzywał Bonapartych do czujności i przygotowania się, albowiem po wypędzeniu Ludwika Filipa zostaną powołani do władzy.

Zebrań w jedną całość faktów jasnowidzenia, świadczących o nadzwyczajnej potędze wiary Mickiewicza, przedstawiłoby autora Dziadów ze strony ciekawej a mało znanej u obszerniejszej publiczności. Dwa ustępy, które mi wręczył p. Aleksander Chodźko z upoważnieniem do ich ogłoszenia, będą przyczynkiem do tego zbioru. Ogłaszam je pod tytułem „Tryumf Proletaryuszów,” bo ten tytuł znajduje wypisany ręką p. Chodźki na rękopismie.

I.

Łatwo się domyśleć powodów, dla których nie możemy ogłosić szczegółowej historii zamieszek, jakie poprzedzą utrwalenie rzeczypospolitej we Francji. Niech nam wolno atoli będzie przytoczyć kilka okresów zamykających pierwszą księgę naszego rękopismu.

Nikt się nie był spodziewał, żeby rewolucja mogła być czysto militarną w kraju, w którym wyrodziło się tyle teoryj rzędu racjonalnego, głęboko obmyślanych i długo rozbieganych. Opinia powszechna domagała się postępu wolnego i regularnego. Była ona więc odurzona i zbłąkana przez wywrot nagły i tak nieprzygotowany. *)

Wywrot podobny jednak był naturalnym a nawet potrzebnym. Oddawna instytucje społeczne istniały we Francji tylko pozornie i na zewnątrz, niemając żadnej wewnętrznej podstawy. Religia już nie odpowiadała potrzebom ludzi cywilizowanych, t. j. ludzi bogatych i potężnych, którzy przewodniczyli ruchom mass. Królewskość używana przez czas jakiś za środek przeciwko wdzierniu się czerni, zdawała się nakoniec zużyta i zbyteczną w czasach pokoju. Bogactwa i resztki przepychu poczynęły zadrażniać dumę narodową. Prawa i postanowienia władzy prawodawczej były złone i znienawidzone jako rozkazy despotyzmu. Sady straciły wszelkie prawo do szacunku ludowego; sądziły one bowiem według martwej litery lub według instrukcyj władzy politycznej, nie mogąc już odwoływać się ani do Boga, którego zaprzeczały, ani do sumienia, o którym już zapomniały.

Wśród takiego moralnego bezładu jedna tylko instytucja mogła ocalić swe istnienie, instytucja czysto materialna: była to armia. Posiadała ona jedyny środek, jaki pozostawał wówczas do nakazania dla siebie szacunku — miała siłę brutalną.

Postęp gwałtowny Henryka V. obudził nadzieję stronnictwa legitymistycznego. Ale nieszczęśliwe to stronnictwo, przyzwyczajone od tak dawna do porażek, w powodzeniu nie umiało zachować miary, przebaczało ono nieprzyjaciółom swoim ale nie przestawało gniesć ich swoją pogardą. Traktowało dumnie swoich przyjaciół politycznych i objawiało silne dążności ku formom starego rządu. Potrzeba jednak spokoju tak dalece zawiądnęła Francuzami, obawa przewrotów przyszłych tak w nich była wielka, że gotowi byli znosić panowanie a nawet i wzgardę jedynej we Francji stronnictwa, które zachowało jeszcze niejaką godność moralną i jakąś wiarę w własne zasady. Jednej tylko rzeczy domagała się energicznie Francja od każdego, kto podejmował się nią rządzić, mianowicie utrzymania godności narodowej.

Lud, mający świadomość swej siły i materialnych środków, czuł się powołanym do oddziaływania jakimkolwiek sposobem na Europę. Przeczuwał on, że się tak

*) Prosimy ciągle uważać na to, że Mickiewicz unosząc się w przyszłość, przedstawia fakta przezeń spodziewane jako już spełnione. (Przyp. red.)

wyrazimy, swoją wokację, ale nie znalazł nikogo kto by jej dopełnił.

Legitymiści, uciśnieni przez czas długi i przymuszeni do odparcia siły brutalnej swych przeciwników bronią rozumowania i kombinacjami wyborczymi i dyplomatycznymi, nabyli w tej walce wiele zręczności, ale stracili zupełnie zdolność działania. Gwałtowni i pełni nienawiści, jak wszyscy teoretycy, nie śmieli używać gwałtu, bo się nie czuli dosyć silnymi. Z postępowania ich jednak widzieć można było, że oczekiwali tylko sposobności, aby okazać całą swoją dumę i nienawiść. Wiadomo, że przez czas długi opierali całą nadzieję swego stronnictwa na pomocy obcych monarchów i pomimo że ta nadzieja tylokrotnie i tak srogo zawiedziona była, zwracali jeszcze, rzekłbyś ze zwyczaju, ku północy swoje spojrzenia. Nie dość tego, rozszerzając zadanie legitymistyczne i zastosowując je do wszystkich ludów i do wszystkich krajów, chcieli przywrócić Sultana do posiadania Grecji i Egiptu, oddać Cesarzowi Moskwy zbuntowaną Finlandyę i dostarczyć Prusakom pomocy do zniszczenia resztek Polski. Na każdym tronie widzieli oni Bourbona a w każdym powstaniu zbrojnym objawy jakobinizmu i rewolucji francuskiej. Nakoniec poświęcali tej wyłącznej myśli politycznej sprawę swej religii i zasady swej kasty. Ponieważ zaś stawali niegdyś po stronie Sultana, który mordował zbuntowanych chrześcijan, ponieważ później przyklaskiwali zaciętości monarchicznej chłopów hiszpańskich wyrzynających szlachtę i wychwalali sprawiedliwość cara, który kazał wywozić księży, kobiety i dzieci, stanowczo więc

okazali, że mieli jedno tylko uczucie polityczne: uczucie obawy rewolucyj, i jeden dogmat: panowanie Bourbonów.

Te zamiary szalone i przeciwnie wszelkim tradycjom Francji, wywołały na nowo fermentowanie wszystkich uspionych nienawiści. Spostrzeżono wkrótce w massach niejasne pragnienie zrzucenia jarzma, ale nie wiedzano, jak do tego przystąpić. Stronnictwo filipistów już nie istniało, republikanie zaś nie mieli ani sił materyalnych, ani przywódców, ani wspólnych dogmatów. Ich dziecinne deklaracje, ich groźby, ich ciągle odwoływanie się do wspomnień 1793 roku, uczyniły ich nienawistnymi a następnie śmiesznymi. Przyzwyczajono się uważać ich za retorów dumnych i bezsilnych. Co się zaś tyczy bonapartystów, nie przypuszczano nawet ich istnienia.

A rzecz dziwna, imię cesarza grzmiało wszędzie, w izbach, w teatrach i w chatach wieśniaczych. Samo to imię budziło sympatyę ludu i zagranicy, a nie przewidywano, żeby takie imię mogło jeszcze oddziaływać na masy. Co szczególnie pomagało sprawie napoleonidów, to ta okoliczność, że cała ich rodzina była na wygnaniu. Niemiano bowiem sposobności spotwarzać ich, depopularyzować i tym sposobem zachowywali oni aureolę dawnej swej chwały. Imię jednego z nich spadło jak piorun na Francję, właśnie w chwili, w której ten kraj obszerny nie miał ani jednego imienia równie świetnego, albo przynajmniej równie szanowanego. To imię posłużyło za sztandar wszelkiej nienawiści i wszelkiej nadziei!!

(C. d. n.)

W Y R O C Z N I A.

(Opowiadanie według Herodota.)

WINCENTEMU POŁOWI

w odpowiedź na wezwanie.

O mistrzu stary z siłą młodzieńca!

Twój głos mi zabrzmiał podniętą:

— „Kwiat nam z twej niwy przynieś do wieńca,

„Stań w naszym chórze poeto!

„Niegdys helleniskie ukochał dzieje,

„Peryklesowych blask wieków,

„Niech maratoński czar cię owieje

„I pieśń nam przynieś od Greków!“

O mistrzu! w dobę młodzieńczą świata

Li młodą przenieść się duszą,

Nie już, gdy życia brzemię przynęcała

A czoło szrony przyprósza.

Tys młodość ducha zachował cudnie,

W wiek późny zapaly wieszczę,

A mnie nim życia przeszło południe

Starości ziębią już dreszcze.

Cóż spiewać? Chyba sięgnę do kronik,

Do dawnych wieków powieści,

Gdzie wieczny piękna wytryska ponik,

Niechaj Ci on coś szeleści.

Oto Herodot! jak dziejów zorze,

W nim się promieni Hellada,

Chyba Ci jego karty otworzę,

Ojciec Herodot niech gada!

* * *

„Mieszkańcy Kymy! od Sardów strony

„Kurzem owiany, krwią zapocony

„Jak zwierz przez łowca ścigany srodze,

„Żebrzący schronu do was przychodzę.

„Przeciw Cyrusa sile potężnej

„By zrzucić obce jarzmo poddańcze,

„Naród lidyjski wszczął spór oreżny,

„Jam wiódł do boju hufce powstańcze.

„Lecz nam nie były przychylny Bogi,

„Oto zwyciężkie gonią mnie wrogi;

„Zdolne by skusić nawet bogacza

„Pers na mą głowę skarby wyznacza.

„W znoju i trwodze, wyschły od głodu

„W mury waszego zabiegłem grodu,

„Dłoń co podniosła miecz na tyrana,

„Grecy! dziś wasze ściska kolana,

„Niech was w swej łasce dźwiera Bogowie,

„Straż u waszych niech staną szanów

„Dajcie przytułek ściganej głowie!“

Do Kimejskiego grodu mieszkańców

Tak wódz lidyjskich mówił powstańców

I do serc głębi słowem tem sięga;

Lecz znów ich perski poseł zastrasza:

„Że wnet Cyrusa całą potęgą

Głowy dopomni się Paktyasza.

Tam i sam myśli Greków się waży

I długo stoją z niepewną twarzą,

Tutaj o własną dolę obawa

A tutaj święte tulaczów prawa,

Tak radzi trwoga, a tak powinność,

Miły im spokój, święta gościnność;

Gdy myśli w jedno tak trudno sprzęgnąć

Najlepiej Bogów rady zasięgnąć,

Więc po wyrocznię szła do Branchidów,

Co począć z wodzem powstańczych Lidów.

Poszli posłowie, odpowiedź biorą

I z takim słowem wracają skoro:

„Gdyśmy o wyrok pytali Feba,

„Co kazać czynić z tulaczem nieba?

„Z wnętrza świątyni głos się rozlega:

„Niech Kymejczycy wydadzą zbiega!“

Gdy takie słowo usłyszy rzesza

Lękliwe serca wieść ta uciesza:

*

„Choć gościa w ręce wydamy wrógów,
 „Będziem bez winy, wola w tem Bogów!“
 Lecz Arystodyk wystąpił z tłumu,
 Mąż pełen światła, cnoty, rozumu,
 Duchem jak posąg czysty i nagi,
 I w całym mieście wielkiej powagi
 I rzecze: „Ludu! albo posłowie
 „Zle myśl docieklą w wyrocznym słowie,
 „Albo w obawie gniewów Cyrusa
 „Tak ich uniosła złego pokusa,
 „Że chytrze kłamnem słowem was mamia,
 „Taką się rada Bogi nie plamia!
 „Perskiego króla Feb się nie lęka,
 „Gościa w dom wiedzie Hermes ręką,
 „Poczcic, co święte muszą i Bogi,
 „Nie ich to rada, lecz podszept trwogi.
 „I zanim gościa wydacie podle,
 „Trzeba wprzód prawdy dociec przy źródle,
 „Musim wyrocznie drugi raz badać.
 „A ja sam pójdę z Bogiem tym gadać.“

Więc szli po radę znów do Branchidów,
 Co począc z wodzem powstańczych Lidów.
 A gdy u wnijsia staną świątyni,
 Rzecz Arystodyk w te słowa czyni:
 „Oto się w mury naszego grodu
 „Wódz lidyjskiego schronił narodu,
 „Przytułku od nas błaga przed wrogiem,
 „Na niego Cyrus gniewem wre srogim,
 „Miastu zagraża ogniem i mieczem,
 „Gdy się opieki nad nim nie rzeczem.
 „A nam się myśli na dwoje waży,
 „Tak radzi trwoga, a tak powinność,
 „Miły nam spokój, święta gościnność,
 „Więc idziem Bogów pytać, co każą,
 „Wy, Olimpijczy, radą wspierajcie!“
 Z świątyni głos się ozwał: „Wydaście!“

Gdy Arystodyk słowo to słyszy,
 Od wrót świątyni odchodzi w ciszy,
 Zwolna okrąża gmach dookoła,

A tu gdzie pańskich kolumnien czoła
 W rzeźbionych gzymsów marmur się sklepią,
 Wróble i szczygły gniazdeczka lepią,
 Tu czarnopiórych stadko jaskółek
 Cichy obiera sobie przytułek,
 I różnych ptaszat stubarwne mnóstwa
 Żywa girlandą cały gmach bóstwa
 Oplotły w koło, skrzydłem trzepocą
 I wdzięcznie Bogów chwałę szczebiocą.
 A Arystodyk jedno po drugim
 Gniazdzka wiszące łańcuchem długim
 Zrywa i ptaszat niewzruszon piskiem
 Gniewnym o głązy rzuca pociskiem.
 A gdy tak czynił, świątyni wnętrze
 Takim mu słowem buchnie gniewliwie:
 „Jak ty bezbożny! śmiesz niegodziwie
 „Łamać przytułku prawa najświętsze
 „I świętokradzką tych ruszać dłońią,
 „Co pod gościnny dach mój się chronią?“
 A na to Grek się hardy podeprze,
 Jak gdyby z Bogiem chciał iść o lepsze,
 Gniewem i wzgardą z oczu wyblýśnie:
 I w głąb świątyni tym słowem ciśnie:
 „A ty, o Boże! jak nam śmiesz radzić
 „Ażeby świętą gościnność zdradzić?
 „I tego każesz dać w ręce wrogów
 „Co błagał schronu u naszych progów?“

A wtedy z wnętrza bożego domu
 Głos się podobny ozwie do gromu:
 „Na to ja taką daję wam radę,
 „By na was prędzej ohydne dzieło
 „Gniew sprawiedliwych Bogów ściągnęło
 „I skażonego grodu zagładę!
 „Byście zginęli w krwi, ogniu, dymie.
 „By wygaśł nawet ród niemowlęcy
 „I samo wasze przepadło imię,
 „Abyscie nigdy nie szli już więcej
 „Z takim pytaniem przed Bogiem stawać:
 „Czy błagających schronu wydawać?“

Adam Pajgert.

K A L E J D O S K O P

obrazy czasów i ludzi
 przez

BERLICZA SASA.

Rozdział I.

Pół wieku wstecz. — Stan kraju. — Umysły i serca. — Rolnictwo i przemysł. — Zalety i przywary. — Zwyczaje społeczne — Pani starościna horodelska. — Przybory do drogi. — Goście. — Portrety.

Cofnę się pamięcią o całe pół wieku. Postaram się odtworzyć obraz zamierzchny tego, co było u nas na Ukrainie, w sensie społecznym, przemysłowym i moralnym. Będzie to malowidło rzetelne i sumienne, choć nie mistrzowskie. Nie znajdzie w niem czytelnik ani barw efektowych, ani świetnych draperyi; lecz znajdzie za to prawdę surową, niemłą, wiem ja dobrze, tym co lubią przesadę we wszystkim, lecz pożądaną zapewne nie mnogim wybranym, o których zdanie dbać zwykłem i dla których właściwie piszę. Peryod zawarty między 1821 i 1825 rokiem, najciekawszy może w dziejach Ukrainy, Wołynia i Podola pod panowaniem rosyjskiem, rozwijał się kolejno przed oczyma moimi z całym szeregiem zdarzeń i przeżyć duchowych, wyłącznych i charakterystycznych a więc godnych zająć swą kartę w historii. Inny był wtedy byt naszego społeczeństwa; innymi torami stapały zdania i uczucia; trafniej sięgały umysły i zacniej uderzały serca. W zwyczajach było więcej prostoty, uprzejmości, i jeżeli się tak wyrazić wolno, archaizmu nacechowanego piętnem dawnych tradycji publicznych i familijnych. Rzadko kto przekraczał granice swojej sfery, sięgał fanaberyą nad możność, lub chłodził sercową gościnność przesadą pozorów i śmieszno-

ścią niewczesnego arystokratyzmu. Domy były zasobne, choć je okrywała strzecha, rodziny czyste i bogobojne, sąsiedztwa zgodne i wzajemnie sobie przychylne, stosunki częste, swobodne i na zobopólnym szacunku oparte. Ile sobie przypomnieć mogę, nie widzę żadnej prawie rażącej plamy na tle moralnem tego obrazu przeszłości, bo zboczenia nawiasowe (a te być musiały) nikły niedostrzeżone w masie zalet zbiorowych. Co do materialnej pomysłowości kraju, większej być nie mogło, i powiem absolutnie, że nigdzie większej nie było. Błogosławiona rola hojnie obdarzała dziedzica. Trud jego był nie wielki. Nakład prawie żaden. Poddany orał, siał, zbierał darmo. Rosły sterty i stogi zboża, napełniały się zasieki ziarnem. Pótem żyd przybywał, kupował, zabierał i srebrem lub złotem płacił. Moźniejsi, niepotrzebujący spieszyć ze sprzedażą krescencyi, wysyłali ją do Odessy, gdzie pomieszczali w magazynach zbożowych własnych lub najętych, dla łatwiejszego pojmiania w lot ceny portowej, która, nieraz bywało, do nader wysokiej dochodziła cyfry. Ten stan błogosławiony kraju, nie zmuszający umysłu do mozolnej kombinacji, sprawił to, że nasi poczciwi Ukraińcy, realnie poczciwi, pograżyli się szczęśliwie w sybarytyzmie, zasnęli w błogości uciech zmysłowych, cielesnego komfortu, mało dbając o przyszłość, która według nich, nie mogła być czem innem, jeno przedłużeniem teraźniejszości. Młode pokolenie zwłaszcza, niezaprzeczenie poczytliwe z kośćmi, odzna-

czało się kompletną biernością względem umysłowego trudu i duchowej kultury. Waleśać się od domu do domu, to na obiadek, to na polowanie, to na wiseczka, to wreszcie na skoczego mazura przy fortepianie było jedynym jego zajęciem. Ukończywszy *per fas et nefas* bazyliąską humańską szkołę, młodzież spieszyła z lekkim nader ładunkiem wiedzy do rodzinnej zagrody swojej, gdzie oddawała się li tylko usiłowaniom wynagrodzenia sobie próżniactwem i zmysłowością tych lat kilku przymusowego trudu, z którego żadnej korzyści odnieść nie potrafiła. Nadto każde pojawienie się na ukraińskim horyzoncie człowieka wyższych usposobień i staranniejszego wychowania, było zdarzeniem anormalnem, stanowiącym erę, a więc nader rzadkiem. Człowiek taki nie wzbudzał sympatii. Pozbawiony duchowej z nim styczności, ogół młodzieży uważał go nie za swojego, stronił nawet od niego i bodaj czy nie sztychł *sub rosa*, z jego wykształcenia i nauki, jako z rzeczy ubliżających godności obywatela mającego wieś dziedziczną a następnie pieszą i ciągłą pańszczyznę na zawołanie.

Ze strony rządu, kraj nasz, nie doświadczał żadnego nacisku. Wszystkie niemal władze ziemskie były wybieralne. Gubernscy urzędnicy izby cywilnej i kryminalnej, także Deputatskiego Zgromadzenia, zależeli także od wyboru obywateli. Przywileje zatem obywatelskie rozpościerały się swobodnie i szeroko. Kraje po kraju nie ulegało żadnemu ścieśnieniu; odbywało się łatwo, bez świadectw policyjnych i paszportów. Dobrze więc było u nas na Ukrainie. Kto żyje i pamięta, niech powie. Gdybyśmy byli przezorniejsi, dalej sięgający myślą i zdolniejsi przytem myśli tej rozsądnie poczętę nadać praktyczne zastosowanie; gdybyśmy mieli więcej cierpliwości, politycznego taktu i mniej niewczesnej zarozumiałości, nie zaniechalibyśmy zapewne obrócić na korzyść naszej sprawy ten czas tyle dla niej przychylny, i zamiast gnuśnieć w materialnym optymizmie, zajęlibyśmy się gorliwie kształceniem siebie zgodnie z ważnością narodowego celu i z naturą naszych usposobień. Tak postępując, przysposobiliśmy krajowi ludzi użytecznych, czy to w administracyjnym, czyli w militarym lub dyplomatycznym zawodzie, i nie dalibyśmy upaść sromotnie sprawie ojczyzny, upaść z naszej winy niestety! skutkiem niesforności, samolubstwa i butnej ciemnoty, z jakimi przystąpiliśmy do dzieła. Rok 1831 zastał nas nieprzygotowanych, nieumiejętnych i nieoczyyszczonych z moralnego mętu. Żadnej nie zapomnieliśmy przywary, żadnej nie wyrobiliśmy w sobie publicznej zalety. W całym tym ukraińskim ruchu, tak szumnym i butnym, ledwiebyś kilku głębszych i zdolniejszych naliczył a i tych słuchać nie chciano, bo zrozumieć nie umiano. Lecz dość o tym smutnym przedmiocie. Wróćmy zwolna na tor, z któregośmy zeszli.

W epoce, o której mówić zamierzylem, Ukraina lubiła jeszcze siedzieć spokojnie i drzemać u domowego ogniska. Każde wydalenie się, czy to na kijowskie lub dubieńskie kontrakty, czy to do Odessy na morskie kąpiele, uchodziło za czyn wielkiej energii, za trudne, ba, nawet niebezpieczne przedsięwzięcie. Tkliwych scen pożegnalnych bywało bez liku, rzekłby kto, że się za Atlantyk wybierano. Co do zapasów, w jakie się zaopatrywano, te, mówiąc bez hyperboli, mogłyby realnie do samej Ameryki wystarczyć. Kiedy wypadło *ex consilio* pp. Placera i Plessla, najsłynniejszych lekarzy naszej strony (odwiedzających nas często z pobudek rzetelnej przychylności dla domu) żebym brał koniecznie morskie odesskie kąpiele, babka moja po mieczu, pani starościna horodelska, przyjechała do ich zdanie do serca i troskliwa o zdrowie wnuczka, zajęła się czynnie

przyborem do podróży. Nadzwyczajne posiedzenie przybocznej rady złożone z członków płci obojga, piastujących *ab antiquo* rozmaite urzędy administracyjne, zwołane było z tej racji pod prezydencją samej pani starościny. Pan Tomasz Nałęcz Leżyński, łowczy nowogrodzki, reprezentował zarząd ekonomiczny, Pan Tarnawski, stajenny, stary Michał, marszałkowski. Ksiądz Franciszek Nagorny, reformat z Żorniszcz, luliniecki kapelan, był przedstawicielem kaplicy i jej potrzeb. Panie: Chorzewska, Cybulska, Strzyżewska — sędziwe wdowy, cnotliwie i umiejętnie prowadzące, każda z osobna, swój wydział specjalny domowego przemysłu, także się zebrały *in pleno*. Zaczęły się debaty tej poważnej kwestyi wyjazdu do Odessy, debaty bez opozycji, ma się rozumieć, z których po parogodzinnej gawędzie, wynikła w końcu ostateczna uchwała, najmiłościwiej przez babkę moją konfirmowana i mająca się niezwłocznie i jak najpункtualniej uskutecznić. Zawrzał dom ruchem i gwarem. Rozbiegli się konni posłańce z wiadomością rychłego wyjazdu. Na to hasło poruszyło się sąsiedztwo, zaturkotały powozy i rozległy się trzaski biczów rzesiste. Coraz pełniej robiło się u nas i gwarniej. Bliżsi pospieszyli natychmiast, dalsi nieco później, wszyscy prawie z familiami, z niańkami, bonami, guwernantkami, dwornie i ładownie, bo na dni kilka, w celu doczekania się chwili odjazdu pani starościny powszechnie poważanej i czczonej serdecznie. Tekla z Sanguszków Włodzimierzowa Potocka przybyła z Daszowa, Marya z Rzewuskich Jarosławowa Potocka z Sitkowiec, Tekla z Sarneckich Krasicka z Kniażej-Krynicy, Eufrozyna z Szolańskich Tyszkiewiczowa z Oczeretny. Nawet sędziwy Piotr Potocki, starosta Szczerzecki, zdążył, chociaż trafunkowo, z pożegnálną wizytą do Luliniec. A tu znowu jadą i jadą — pani marszałkowa Opacka z całą dzieciarnią, pani marszałkowa Sarnecka, córka babki mojej, a więc moja ciotka, z ciężkim ładunkiem młodego potomstwa. Ledwie wysiadły, walą poważnym truchtem sędziwe bucyały starego marszałka Przyłuskiego, obszernie w mojej „Ukrainie“ wspomnianego. Nim postąpię dalej w relacji, nadmienię pobieżnie o dwóch paniach Potockich, które w liczbie przybyłych gości pomieściłem. Tekla z Sanguszków, była to pani wielce poważana, dobra Polka i obywatelka, najlepsza sąsiadka i przyjaciółka, słowem wysokich zalet kobieta, ale też w równym stopniu brzydka. Nieraz bywało, wpatrując się w portret jej męża, zdołbiący salon daszowskiego pałacu, zadawałem sobie pytanie, co mogło skłonić ś. p. Włodzimierza, jednego z najpiękniejszych mężczyzn swego czasu, do tak nieśłownego hymenu? Jużcić nie cyfra posagu, bo sam posiadał około 20 milionów zł. p. fortuny. Nie znakomitość połączenia, bo jej nie potrzebował. Może olśniewająca aureola talentów, rozumu, poetyczności? nie — tego w niej nie było. Cóż więc?... Stary pan Walerjan Przyłuski, exszambelan króla Stanisława Augusta, późniejszy marszałek Lipowiecki (którego nazwiskiem listę przybyłych gości zakończyłem) człowiek wiedzący wszystko, to nawet, co do niego nie należało, objaśnił tę zagadkę następie:

— Kupido, największy z psotników — mówił — nawarzył tego piwa. Grotem strzelistych afektów tak srodze ugodził pannę Teklę w serduszko, że pokochała serdecznie Adonisa, który, to jest, nie ów bajeczny Adonis, ale pan Włodzimierz Potocki — rozczulił się tą miłością, i... akt matrymonialny został dokonany.

Okoliczność ta nastęrcza pamięci mojej zdarzenie zupełnie do poprzedzającego podobne. Brat mojej babki, pan Stanisław Zamojski, którego majątki leżały

w kordonie cesarskim, przybył na Ukrainę dla odwiedzenia swojej siostry w Lipowcu. Był on wtedy młodym, szykownym, dzielnym i niezrównanej piękności. Ostatni wojewoda brackowski, Grocholski, nieodlegle od Lipowca mieszkający, zaprosił go do siebie na bal, do Woronowicy, dokąd naturalnie, rad pohulać i potańczyć, pan Zamojski skwapliwie pośpieszył. Nie mam potrzeby mówić, że pan Grocholski wystąpił po pańsku, co się zowie. Karmił gości na zabój, poił do upadłego, walił z móżdżerzy aż mury drżały, a trąbom i puzanom swojej nadwornej kapeli kazał gwałtować w niebogłosość, żeby wszystkie zakątki województwa słyszały jak pan wojewoda ucztuje.

Pan Grocholski miał córkę wielce dowcipną, ukształconą i dobrą istotę ale nie ładną. Że pan Zamojski był grzecznym i nadskakującym dla niej, cóż w tem dziwnego? Wszak był światowym kawalerem i wiedział dobrze co się od gościa córce gospodarza należy. Że mu żadna myśl zalotna do głowy nie przychodziła — i to rzecz naturalna; bo będąc młodym, pięknym, bogatym i świetnie urodzonym, miał prawo podrożyć się trochę i szukać odpowiedniejszej pary. Nie darmo jednak głosi łacińskie przysłowie: *volentem ducunt fata, nolentem trahunt*, co ma znaczyć, że nie tak się zwykle dzieje jak człowiek zamierza, ale jak sądzono — i rzeczywiście, stało się zupełnie wbrew woli i oczekiwaniu pana Zamojskiego. Ow psotnik (jak się wyrażał stary szambelan Przyłuski) Kupido, i tą razą nawarzył piwa. Obrawszy sobie za metę tkliwe serduszko panny Teresy, dopóty je porażał groty swojemi, aż się gwałtowną miłością rozpłomieniło — skutkiem czego wypadło, że kiedy się po balu goście rozeszli na spoczynek i cały pałac smaczno zachrapał, pan Zamojski ni ztąd ni zowąd porwał pannę wojewodziankę do karety, uwiózł do Lipowca

i wziął z nią ślub *stante pede* w domu państwa starostwa horodelskich.

Co do Maryi z Rzewuskich Potockiej, córki Seweryna, hetmana polnego koronnego i siostry Wacława *Emira-tadż-Ulfchr*, ta była uroczem wcieleniem dobroci i wdzięku. Natura odlała ją w odrębnej formie, odrębnymi przymioty uposażyła i chlubna z dzieła swego, postawiła ją wzorem dla wielu, przedmiotem czci dla wszystkich. W rysach jej, żywo przypominających poetyczne oblicze Wacława, było coś pociągającego słodczą, coś imponującego dostojeństwem, coś uderzającego rozumem. Kochać ją każdy musiał, nie poważać jej nikt nie mógł. A przecież obok tylu praw do szczęścia, szczęśliwą nie była. Nie mało ciosów bolesnych dotknęło ją w życiu, i największą ich liczbą z dłoni mężowskiej wypadła. Zostać mężem takiej kobiety, nie powinno było być udziałem pana Jarosława. Zanadto go los zaszczylił takim darem — zanadto uszczęśliwił! Mówię, zanadto, bo nad zalety i zasługę. Nie było w panu Jarosławie wewnątrz nic, oprócz fumi magnackiej — nic nie było zewnątrz, oprócz salonowego pokostu. Umysłowo był on kompletne zero, moralnie idem. O! nie takiego warta była męża, dobra, cnotliwa, rozumna i poetyczna Marya! A więc, powtarzam, biedną była ona i nieszczęśliwą! Śmierć tragiczna ukochanego brata, Wacława Rzewuskiego po daszowskiej porażce ukraińskiego powstania w 1831 r. wieczną serce jej okryła żałobą. Nie widziano odtać uśmiechu na jej ustach, nie słyszano wesołego słowa. Miała u siebie w Sitkowcach piękną kaplicę w stylu ostrołukowej gotyki wybudowaną. Tam pędziła długie godziny na modlitwie i pogrążeniu się w Bogu, szukając ulgi cierpieniom przepełniającym jej duszę. Wkrótce ją miłosierdzie boskie do lepszego życia powołało! — Cześć niech będzie jej jasnej i rzewnej pamięci! (C. d. n.)

Goethe i Descartes.

Studium

przez

Dr. ALFREDA ZGÓRSKIEGO.

Jestto zjawiskiem dnia każdego, że młodzież na wstępie do życia stojąca, której różowe nadzieje ze wszech stron uśmiechać się zdają, tak skłonną zwykle bywa do sceptycyzmu, do tej choroby duchowej, którą jak wierzomanię prawie każdy przeboleć musi. Jest wprawdzie ten sceptycyzm najłatwiejszą formą frazeologii, dodając swoim adeptom pewnego pozoru oryginalności i lechząc ich próżność nadzieją koturnowego stanowiska pośród tłumu, ale posądzałibyśmy wiek młody o nazbyt wielką płochość, szukając w tem jedynie ostatnich przyczyn sceptycyzmu. Przynajmniej dla tych, którzy nie z oryginalności często bardzo wygodnej, bo dobrze wewnętrzną próżnię ukrywającej, a niechęć do rzetelnej pracy tłumaczącej, lecz z przekonania w pewnym okresie swego życia są sceptykami, przynajmniej dla tych — a liczba ich jest wcale poważną — należy się za innymi oglądać przyczynami choroby.

Smiało rzec można, iż stosunkowo na polu nauki najwięcej pracuje młodzież. W stosunku do sił intelektualnych — wyjąwszy małego grona uczonych ze zawodu — w wieku młodzieńczym najwięcej się uczymy, tak pod względem rozmiarów nabywanej wiedzy, jak i czasu nauce poświęcanemu. Nie dziw więc, iż mimo świeżości sił duchowych dla nawału ciągłych nowych pojęć, cisnących się do umysłu, ustalenie i uporządkowanie ich w myślącej głowie nie jest rzeczą zbyt łatwą. A ponieważ formalna, powierzchowna strona pojęć łatwiej w umyśle

utkwic może, niż sama treść ich, ponieważ łatwiej sobie tamtę przyswoić, aniżeli w tę wnikać, dla tego wykształcenie młodego umysłu początkowo bywa zawsze przeważnie formalnem, nie sięgającym do najgłębszej istoty każdego pojęcia. Zważyć także wypada, jak wiele na tem cierpi u młodego człowieka logiczna łączność, panująca między wszystkimi pojęciami, że ogniwa ich pośredniczące tenże najczęściej bądźto w niepamięci uroni, bądź też ich blaskiem należytego poznania nie oświeci. I ztąd to cały gmach pojęć, jaki w umyśle młodzieńca się wznosi, jest do pewnego czasu nietylko wiotkim i kruchym, ale, co gorsza, niezaludnionem jest jego wnętrze, nie wypełnione samorodnym poglądem formy. Młodzieniec ma swój świat intelektualny, którego nie umie pogodzić z naturą i zjawiskami rzeczywistego. Przez mglisty pryzmat świeżo nabytych a nieprzetrawionych i logicznie nie powiązanych pojęć spogląda on na ten świat faktów, który widziany niegdyś, jeszcze w dziecięcym wieku, okiem natury, wcale inaczej mu się przedstawiał i który w niczem nie odpowiada chaosowi jego wyobrażeń, więcej idealnych aniżeli praktycznych. Młodzieniec traci miarę na odróżnienie prawdy rzeczywistej od poglądu tylko subiektywnego; pomiędzy nim a światem faktów wznosi się sprzeczność, trudna do rozwikłania. Cóż więc naturalniejszego, jak, że młodzieniec przyszedłszy na to rozdroże, wyposażony stosunkowo dosyć znaczną ilością takich pojęć, które odwiodły go od dziecięcego lecz natu-

ralnego na świat poglądu — a nie wystarczają, aby nań patrzył zdrowo i wyraźnie okiem rozumnym, uczuwa głęboko tę dysharmonię pomiędzy sobą a niezrozumianym światem, którego zrozumienie przecież nauki jego miało być celem. Żywotność wieku młodzieńczego musi się podrażnić na taki rezultat wielu może lat pracy, nie dosyć wprawdzie gruntownej, ale szczerzej; nauka wyda mu się teraz nie rozwiązaniem zagadek, ale ich gromadzeniem, świat przedstawi mu się niedocieczonym Sfinxem. Sceptycyzm więc w pewnym okresie naszego wieku jest naturalnym objawem ducha.

Straciwszy on niepowrotnie ów dziecięcy, intuicyjny, naturalny na świat pogląd, a zawiódłszy się na naukę, wątpić poczyną, czy w ogóle kiedy świat już zrozumieć zdoła? Taki jednak smutny horoskop przyszłości własnego umysłu przejmując go trwogą i wiedzie do tragicznego przekonania o kruchych siłach ludzkiego ducha. Od rozpaczenia w tym stanie ratować go się zdaje, chociaż tylko pozornie: konsekwentne zaprzeczenie rzeczywistości, sceptycyzm w obec świata.

Objaw ten napotykanym w rozwoju ducha młodzieńczego tak jest naturalnym, iż wiecznie odnawiać się będzie we wszystkich przeszłych i przyszłych generacjach, stojących na pewnej cywilizacyjnej wyżynie. Kto więc potrafi ten stan ludzkiej duszy ująć w jasny obraz i przełożyć go w dzieło sztuki, kto odmaluje wiernie jego genezę i poda psychologiczne jego przyczyny, ten stworzy utwór wiecznie świeży, wiecznie prawdziwy, wiecznie żywotny, rzekłbym, klasyczny. Descartes w pierwszym rozdziale swego „Discours de la méthode“ (pomijając ustępy w jego „Principes philosophiques“ i „Meditations“), Göthe w pierwszych scenach swego „Fausta“ poszli tą drogą.

Nim jednak tę chwilę z życia i pism obu tych pierwszorzędných myślicieli przedstawię, parę jeszcze podam uwag ogólnych.

Nie podzielam zupełnie starego prawie jak świat, a odświeżonego tylko w dosyć rozgłośnej Drapera „Historii cywilizacji europejskiej“ zdania, jakoby życie ludzkości, tak samo jak jednostki, miało swój wiek młody, dojrzały i sędziwy. Sądziłbym owszem, że ludzkość jest, jak ów wiecznie odmładniający się w płomieniach Fenix egipski. Często już ludzkość była zgrzybiałą — lecz w ogniu walki znowu się odmładzała. Taką chwilą wewnętrznego odmłodzenia była dla niej nie tylko religijna, ale zarówno umysłowa i społeczna reformacja wieku XVI, taką była również nie tylko polityczna, ale także społeczna i umysłowa, nie tylko francuska, ale powszechno-europejska rewolucja XVIII wieku. Jeżeli bowiem chwila przejścia od starożytności do wieków średnich da się w historii dokładnie oznaczyć, będą owocem jednego chociaż przeciągłego poruszenia się duszy świata, to przejście w czasy nowe nie da się odnieść do jednej chwili dziejowej, ani jednym wybitnym określić faktem. Ludzkość kilkakrotnie wyteża swe siły, stara się zgromadzić wszelkie czynniki nowego życia — ale żadnym razem nie może jasno i całkowicie pochwycić idei przyszłości. Jest to szereg letargów i ocknięć... Czasy nowe są owocem kilkakrotnych dopiero wysiłków ludzkości, a wieki XVI i XVIII są najwybitniejszymi dobami tego stopniowego rozwoju. Z tego już względu napotykamy na podobieństwa między nimi. Wiek XVI, zbierając pierwsze owoce dawno już z duchem średniowiecznym rozpoczętej walki, jest chwilą tryumfu poglądów na świat nowożytnych. Protest przeciwko średniowiecznej teologii dokonuje się przez reformatorów religijnych, przeciw fizyce i astronomii aristotelesowsko-biblijnej przez odkrycia Kolumba, Galileja, Kopernika; obaloną zostaje nauka przyrody Pliniusza, kościelna władza ustępuje ziemskiej — pieczęcie i pergaminy

tracą siłę w obec Machiavela i Hobbesa. Nawet język średniowieczny, łaciński, ulega rozwojowi języków narodowych, wprowadzonych do piśmiennictwa i liturgii. W końcu i samej myśli usiłuje wiek zakreslić nowe prawa: po nad zbutwiały „organon“ Aristotelesa wychyla się Bakonowski „organon novum.“

Wobec tych jednak zmian gruntownych rozstrzuwających się na bogatym tle XVI wieku, ludzkość znachodzi się początkowo w położeniu młodzieńca, który pod nawalem nowych pojęć, w obec zupełnie nowej teorii życia i myślenia nie umie się zorientować, ukotysać. Nauka przechodzi z klasztorów do szkoły świeckiej, wyłamuje się z pod monopolu duchownego, przechodzi na własność zwolenników humanizmu a w ich rękach silnie, namiętnie i szybko rozwijana, nabiera barwy zupełnie różnej od pojęć starożytnych, na podstawie których rozwijał się świat dotychczasowy. Ideały nowego życia pochwycone w locie, ale jeszcze nie przetrawione — ztąd całe życie niepewne, nieokreślone, niezgruntowane... Młodzieńczy zapal przepelnia głowy, gorączka nienasycona trawi wnętrza; ludzkość pragnie harmonii między teorią i życiem faktycznym, a nie mogąc jej znaleźć, poddaje się sceptycyzmowi. Obala gmachy własnej teorii, a z nią i samą rzeczywistość — albo dąży do uspokojenia za pomocą alchemii, czarów i szatana, byle nie powrócić pod kuratelę średniowiecznego Boga i zakrzepiej teologii... Stan ten najlepiej charakteryzuje podanie XVI wieku o Drze. Fauscie, *) bardziej tragiczne — lub o Twardowskim, więcej mając w sobie stron komicznych. Podobnemu zachwianiu wiary w naukę i rzeczywistość uleżał każdy głębiej myślący człowiek w XVI wieku i na początku XVII. Descartes rozpoczynając książkę „Discours de la méthode“ swą czynnością naukowo-spekulacyjną dał w jej pierwszym rozdziale wielki dowód szczerości, spowiadając się całkowicie z tego dziwnego stanu duszy. Descartes bowiem w dziele tem nie chce uczyć drugich, ale opowiada „historię własnego życia wewnętrznego.“

Sceptycyzm Descarta był najwierniejszym czasem swego odzwierciedleniem, a ponieważ rozbiór jego był najdokładniejszą i najgłębiej pojętą diagnozą choroby wieku, nie dziw więc, że wywarł skuteczny wpływ na umysły. Wiek XVII stał się dobą ustalenia pojęć w każdej dziedzinie ludzkiego ducha. Stan ten przeciągnął się aż do drugiej połowy wieku XVIII; teraz jednak ludzkość nie widząc wbrew swym usiłowaniom owoców przeciągłej walki całkowicie osiągniętych, a napotykając nawet na fałszywie ujęte idee w owym programacie ogólnego protestu przeciw wiekom średnim, (co wykazywały aż nadto stosunki XVII i XVIII wieku) odnawia walkę i zmienia gruntownie naturę nowożytnych dziejów.

Walka ta znowu, jak dawniej, występuje przeciwko stosunkom średniowiecznym, o ile wiek XVI jeszcze ich nie obalił lub obalić nie zdołał; występuje nawet przeciwko samym rezultatom pracy XVI wieku, o ile te również popadły w średniowieczne przesady. Znowu ludzkość zakłada protest przeciwko teologii nie tylko katolickiej, ale już i protestanckiej — a jeżeli wiek XVI usiłuje obalić papieżstwo, koniec XVIIIgo stara się już o obalenie chrystyanizmu. I znów protest przeciwko władzy, jak tam kościelnej, tak tu świeckiej — bo przeciw politycznemu absolutyzmowi, znowu protest przeciw monopolowi nauki, przeciw rozwieleniu się języka, jak tam łacińskiego, tak tutaj francuskiego. Protestacja ta wywołuje i w tym wieku, jak dawniej, zbyt gorączkowe, zbyt radykalne a zarazem powierzchowne reformy, a tem samem, co

*) H. Düntzer: Die Sage von Doctor Johannes Faust. Stuttgart. 1846.

dawniej, torem logicznym idąc, ulega znowu chwilowemu skąpcyzmowi. Skąpcyzm bowiem jest tylko źródłem tak smutnych i chorobliwych objawów, jak ówczesny materializm, ateizm, mesmeryzm, wystąpienie kawalera Cagliostro, Werteryzm, niedługo odrodzony w goryczy Byrona i aż do połowy blisko naszego wieku silnie na umysły oddziaływający.

I dlatego to właśnie w tym wieku podanie o Fauscie wielkie obudzało zajęcie, tak że najznakomitsi nawet ludzie jak Lessing, Müller, Klinger, Lenz i inni gorąco niem się zajmowali. A i sam Goethe, który jeden może w zupełności potrafił zjednoczyć w sobie wszystkie promienie duchowe swego czasu, nie mógł zachować się obojętnie

w obec tego powszechnego skąpcyzmu. Podanie gminne ujęło w doktorze Fauscie charakterystyczne rysy wieku XVI — Goethe w swem arcydziele podał najdokładniejszy obraz duchowej fizjonomii XVIII wieku. Aby zaś poematowi swemu nadać koloryt najbardziej ludowy i uczynić go duszy narodu zrozumiałym, ubiera samego siebie właśnie w postać legendową Fausta. Ale nie jest to już Faust XVIgo lecz XVIIIgo wieku. Jeżeli zaś są jakie podobieństwa, jeżeli Faust wieku XVIgo stał się szkieletem Fausta z XVIII wieku, to tylko dla podobieństwa prototypów przedstawionych w obu obrazach, to tylko dla podobieństwa wieków XVIgo i XVIIIgo.

(C. d. n.)

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

O S O B Y :

Książę KAROL RADZIWIŁŁ, Wojewoda wileński.
Książę HREHOR KORJATOWICZ KURCEWICZ, Choraży lidzki.

BASIA KURCEWICZÓWNA, jego córka.

HELIODOR DYPLOWICZ, sąsiad Kurcewicza.

SZMUL SŁONIMIEC, arendarz w Obibokach, karczmie księcia Radziwiłła.

JÓZEF SZCZUKA, dworzanin i koniuszy księcia.

WOŁODKOWICZ. KIRKOR. KISZKA. PUCHALA.

LARZAC. Komendant zamku. Jenerał.

ŻURA, dworzanin.

Dwór księcia Radziwiłła.

Rzecz dzieje się po powrocie Księcia z Węgier.

Akt I.

(Teatr przedstawia wielką izbę w gospodzie żydowskiej na gościńcu wiodącym do Nieświeża, na granicy dóbr książęcych, w Obibokach.—Zwykły sprzęt karczemny, ale izba umieszczona, wysypana tatarakiem i jedlinką, przystrojona w zielone gałęzie na przyjęcie gościa. — Ławy do koła.—Od sufitu mosiężny pajak odczyszczony, w głębi szynkwias obwieszony galeryjką, w nim pełno butelek, szklanek i t. p. W lewo wielki długi stół na nogach krzyżowych, w części białym obrusem zaścieniony... Drzwi w głębi jedne od podwórza, drugie na lewo do alkierza, trzecie w prawo do sieni i stajni.)

Scena I.

SZMUL SŁONIMIEC (sam, przybrany świątecznie. Żupan atłasowy czarny, czapka z sobolem. W rękę trzyma różek do kadzenia, z którym obchodzi izbę, zaglądając często do okien.)

Nu! chwalić Pana Boga! Doczekaliśmy się z powrotem naszego pana, Księcia Jegomości... i skończy się panowanie oficyalistów. Nu! niema nic gorszego jak gdy sługa panuje. Książę, taki zawsze on Książę! Choćby był zły wieczorem, to jutro wstanie dobrym... Szmul jemu pierwszy przywita na Radziwiłłowskim gruncie... Jego to powinno chwycić za serców... Gdyby on jedną ratę darował?... Czemu nie ma darować?... Won Szmula zna od dzieciów i Szmul jemu zna od maleńkości... a potem kiedy był jeszcze Miecznikiem, a waj! to były historie! No — ale już nie będzie. Szmul jemu kocha

i on kocha Szmulowi... Czemu nie ma kochać? Won to wie, że wiele było Radziwiłłów Wojewodów Wileńskich, tyle było Szmulów arendarzów w Obibokach. Nasze familie były zawsze w wielkich przyjaźniach... (Staje, kładzie różek i myśli.) Jemuby się należało coś powiedzieć elegancko... extra fein!! bo on wie, że ja mam rozum, a może sobie pomyśleć, że ja jemu jego żałuję... (Podnosi czapkę i kłania się do drzwi, jak gdyby księcia przyjmował.)

O tak! Co by jemu takiego przyprawnego fein powiedzieć?... Jaśnie oświecony Księci Jegomości!... (myśli i mówi do siebie) Na półmisku nakrytego pięknym chustkiem, postawim flaszkę kowieńskiego Lipca, flaszkę wódki Gdańskiej i fein piernik Toruński... i jemu jego podam... (chrząka) Nu, co ja jemu powiem?... (myśli) Co ja jemu powiem, żeby było fein! (uderza się w czoło.)

Jaśnie oświecony Książę Jegomości... Prosimy przyjmując tego maleńkiego daru z wielkich serców od Szmula Słomimca... życzliwości — szczęśliwości... powrotu na panowanie. A niech Bóg Abrahama i Jakóba błogosławi księciu Jegomości i wszystkim jego familiom... (myśli)

To nie jest kiepsko — ale on przywykł, żeby jemu było pieprzno, on tego sto razy słyszał — to nie jest pieprzno... nie — musi być inaczej — (staje i myśli).

Jaśnie oświecony Książę Jegomości! Jak bez słońców schnie drzewo i umiera trawa i zboże zdycha i ogrodowina... tak wierne sługi Waszej Ks. Mości, w księstwie nieświeskim schlim i umieralim bez jego pańskich obliczów. Wschodzi jasnych słońców naszych, jaśnieje gwiazda nasza i radują się wszelkie wnętrzości: Vi-vat! (Rzuca czapkę do góry, chwytą i zamyśla się.) To dosyć dobrze — ale nie najlepiej... Hm! No, coby ja był za żyd, żeby ja jemu co z Thory nie powiedział. Recht! no tak! (myśli) Jaśnie Oświecony Książę Jegomości! Miał Izrael króle swoje Salomona i Dawida... a jak stracił ziemie swoje, a poszedł na rozsypanie, przyjęła jemu ziemia polska i litewska... I co? (wzdycha) Och żeby ja był wczoraj wiedział... jabym był sobie fein pomyślał... (wzdycha) Jak to temu trudno gadać co przywykł robić... tak samo być musi trudno robić temu, co tylko przywykł gadać. (ociera pot z czoła) Jakbym drwa rąbał tak się zmęczyłem, a jeszcze nie wiem co gadać, żeby było fein. (Słychać hałas przed karczmą — Szmul przerażony bieży ku drzwiom od alkierza) A waj! a gwałt! Sure! Księci jedzie, a tu nie gotowo... Rifke... Jankiel... Abraham... gwałt... Tace z chustkiem i z miodem.

(Przez drzwi do alkierza wysuwają się dwie ręce i podają tacę, Abraham wzięwszy ją krokiem poważnym podchodzi ku drzwiom od sieni, w chwili gdy się one właśnie otwierają, kłania się i nie widzi z początku, kogo wita.)

Scena II.

SZMUL, Choraży KURCEWICZ, BASIA.

(Za niemi w kilka chwil wsuwa się po cichu ukradkiem Dyplowicz i siada w najgłębszy kątek pod szynkwasem.)

KURCEWICZ — chudy wysoki ale kościsty, głowa podgolona z czubem najeżonym, was siwy nastrzepiony do góry, bóty czarne kozłowe do kolan, kaftan łosiowy, na nim kontusz, torba borsucza przez plecy, szabla u boku.

BASIA — skromny strój podróżny, na głowie kwefik czarny, ubiór ubogi, ale czysty.

DYPLOWICZ — mały, skrzywiony w łopatkach, głowa wielka, twarz krągła, uśmiechnięty, pokorny, kłaniający się, ubranie liche, szabelka podpięta wysoko i małuśka, jakby dla proporeyi.

(SZMUL ze schyloną głową z początku nie widzi Kurcewicza, który stoi, patrzy na półmisek i kręci węża. Dopiero podniósłszy oczy arendarz postrzega Chorażego, cofa się zdziwiony i kwaśny, Kurcewicz chwytą go za ramię.)

CHORAŻY. Co to ma znaczyć?

SZMUL. Jakto, co ma znaczyć?

CHORAŻY. Kogóż to chciałeś tak paradnie przyjmować? he? dla kogo to było?

SZMUL (ręką machając). A! a! nu! nu! Juści nie dla Jegomości! Tu, tu lada moment nadjedzie sam Książę Wojewoda...

CHORAŻY (pogardliwie). Książę Wojewoda, wielka mi sprawa! straszna figura! patrzajcie go! a ty wiesz kto ja jestem?

SZMUL. Co ja nie mam wiedzieć? Jegomość jest z pozwoleniem... Choraży Kurcewicz z Siennej Wulki.

CHORAŻY. A ty myślisz, że Kurcewicz gorszy od Radziwiłła do kroćsto tysięcy basałyków?

(W czasie rozmowy Basia zrzuca kwefik, — przygląda się gospodzie, spostrzega Dyplowicza, który się jej bardzo nisko kłania, rusza ramionami i odwraca od niego. Potem w czasie rozmowy ojca hamuje jego porywy.)

CHORAŻY. Myślisz, że Kurcewicz od Radziwiłła pośledniejszy?

SZMUL. Czemu ma być gorszy albo pośledniejszy? Radziwiłł swój gatunek, a panów Kurcewiczów swój gatunek i każdy ma swego gatunku.

CHORAŻY. Cóż to ty myślisz, ty, że Radziwiłł do innych niż ja ludzi należy — sto fur djablów!

SZMUL (chcąc odejść). A waj! na co tego gadać! Won jest Radziwiłł, Jegomość jest Kurcewicz — to i dosyć.

CHORAŻY. Tak, a ty jesteś Szmul Słonimiec i do tego głupi!

SZMUL (obrażony). Szmul — ale niegłupi.

CHORAŻY. Jakto, nie? Żyjesz w tym kraju kope lat, a nie wiesz, że Kurcewicze Koryatowicze ród swój kniaziowski prowadzą od Koryata, a Koryat od Palemona, a Palemon od Cezarów rzymskich... A wiesz że ty z kąd poszli Radziwiłły? do sto basałyków — Radziwiłły idą od Lizdejki, a Lizdejko był pop i do tego jeszcze pogański... Radziwiłłowie popowicze — chapoknysze...

SZMUL. (Patrzy z politowaniem kiwając głową.) Tego ja nie wiem, co prawda... ale tego ja wiem, że won ma Nieśwież i tysiąc wsiów i dwieście miasteczków

a Kurcewicz jedną Sienną Wulkę, którąby Radziwiłł zjadł na śniadanie i jeszcze by mu się jeść chciało.

CHORAŻY. Żydzie, po żydowsku cenisz ludzi.

SZMUL. A waj! bom żyd! — (po namyśle) Ale posłuchaj Jegomość... Ja tu na niego czekam... Niech mnie Jegomość zrobi tę łaskę i sobie ztąd pojedzie. Nu — na co tu Jegomości na niego... siedzieć? Ja jutro przyszłe ćwiartkę cieleciny, co fein!

CHORAŻY. Ażebyś sto basałyków zjadł, niewiario, Judaszu ty jakiś, mordyaszu Boga! Patrz go! Co to ty sobie myślisz... że ja przed Radziwiłłem będę uciekał? Co to ja — gorszy od niego? Czy to nie karczma? Ja się dawno z nim chciałem spotkać i rad jestem, że tego szalbierza, gadułę, łgarza w kumysz zapędzę...

BASIA. Mój ojcze!

CHORAŻY. Daj mi ty pokój.

BASIA. (prosząc) Ojcze drogi! zlituj się! Wiesz, że to człowiek szalony — po co się narażać na awanturę. Tatku kochany, jedźmy, błagam... proszę... Tu z nim nasypie się ludzi... my sami... Ojcze ja się boję o Ciebie. (obejmuje go) Ja błagam Cię, proszę, zrób to dla mnie — dla twej Basi. Jedźmy, uciekajmy!

CHORAŻY. (kręcąc węża) Niedoczekanie jego — Cicho byś była — idź do alkierza i schowaj się kiedy ci strach... Jeszcze by czego nie stało, żeby kniaz Koryatowicz Kurcewicz otrąbiony był, iż się zląkł Radziwiłła i umknął przed nim. Żydzi by się ze mnie śmieli do stu basałyków. — (Cicho) Ty mnie nie znasz Basiu — z tego nic nie będzie. (do Szmula) Słuchaj ty stary mordyaszu Boga... daj mi tu zaraz na stół jeść!

(Podsuka się do tacy, którą Szmul postawił na stole, choć Szmul usiłuje obronić, nalewa wódki, pije, łamie piernik i zakąsuje.)

To nie złe przed obiadem... Słyszysz! tu mi dać jeść! na tym stole. Szczupak faszerowany powinien być...

(Basia zleknioma przysiadła i szeptem mu coś na ucho... Choraży się odwraca i spostrzega Dyplowicza w kącie.)

Co asindziej tu robisz? he? Już jesteś? już mi na pięty nastajesz? jużś dogonił? Gdzie ja tam i wy — jak cień! a to skaranie Boże...

DYPLOWICZ. (Wysuwa się kłaniając i zacierając ręce) Stopy pana Chorażego całuję, do nówek upadam! Cóżem winien, że się spotykamy! Miły Boże! Jak pan szczerych przyjaciół ocenić nie umiesz, a ja pański animusz admiruję.

CHORAŻY. Animusz, jak animusz, ale ty moja Wulkę admirujesz i chciałbyś mi ją wyrwać, wypieniaczyć... a bojąc się bym jej komu nie sprzedał, jak cień mnie ścigasza...

DYPLOWICZ. Ja! ja! panie Choraży! klnę się...

CHORAŻY. Nie knij się, do stu basałyków, a w oczy mi nie leż.

DYPLOWICZ. (kłania się i umyka do kąta.)

SZMUL. (który w czasie rozmowy stał zamyślony) A co będzie?

CHORAŻY. Będę tu siedział i jadł.

SZMUL. A waj! Rób Jegomość jak lepiej — ale jak z tego będzie wantura, albo, chowaj Boże, krew pociechez... ja ręce umyвам...

(Basia płacze — ojciec ją uspakaja. Dyplowicz ręce zaciera... Szmul patrzy.)

SZMUL. A że będzie wantura... to jest pewne... Jegomość Księcia nie lubi, Książę Jegomości nie kocha, Jegomość nie ustąpi, on nie pójdzie... a co po tego?

CHORAŻY. Mnie się tak podoba... do stu basałyków...

SZMUL. Won jest dobry ale impetyk... Czasem jak anioł, a czasem gorszy od samego dyabła...

CHORAŻY. A ja gorszy od stu dyabłów!...

SZMUL. (wzdycha) Ot... kiedy nieszczęście przeznaczono na mojego dom i w taki dzień! (do Basi cicho) Niech panienka tatkę zapłacze... bo będzie wielkie nieszczęście.

BASIA. Ale cóż ja nieszczęsna pocznę! Bylibyśmy pojechali zaraz, gdybyś mu sam nie powiedział bezpośrednio (łamiąc ręce). A teraz! Co tu począć? (oczy zakrywa chustką).

SZMUL. Panie Książ Kurcewicz Kondratowicz... pan jesteś godny figura...

CHORAŻY. Nie przekreślaj nazwiska! żydzie! — że jestem godny to wiem i bez ciebie.

SZMUL. Bądź Jegomość wspaniałomyślny, a ulituj się nad córeczką i nad Szmulem... Jak on tu was zastanie — Jak będzie tylko dwa słowa a od słowa do szabli... i krew, i na mój dom wielki smutek.

CHORAŻY. Albo to nie karczma?

SZMUL. (urazony) Karczma? Co to karczma... to jest uczciwa austerja.. Na co w niego ma być wantura? Książę ma z sobą stu ludzi, a oni wszystkie takie, że im tylko bij a siekaj jemu na sałatę... Won jest dobry pan, ale oni was na szablach rozniosą...

BASIA. (klękając) Ojcie!

CHORAŻY. Cicho! dziecko... Dyabeł nie tak straszny jak go malują. Idź mi zaraz na górę i siedź spokojnie. Mnie się nic nie stanie. Burd nie lubię i nie robię, ale tchórzem nie byłem i nie będę... To darmo — zostanę tu... Znam go dawno ze słuchu, zna on mnie z humoru mego — trzeba się raz przecie spotkać w życiu i w oczy sobie spojrzeć.

BASIA. Ach! ojcie drogi! Żyć z nim nie potrzebujemy, ani z nim wojny prowadzić, na co go jątrzyć?

CHORAŻY. (całując ją w czoło) Nie znasz widać szlacheckiej natury Basiu. Ustępować ona z musu nie lubi. Z dobrej woli koszulę odda a pod naciskiem przedziej życie, niż dumę... Ja jestem trochę więcej niż prosty szlachciura, bo książę Koryatowicz... a Radziwiłła ojcowie moich w nogi całowali — Popowiczowi nie ustąpię.

BASIA. (łamiąc ręce) O Boże! ratuj!

SZMUL. (z rezygnacją) No — co osądzone to osądzono! Darmo gadać. Żeby Choraży wprzód choć testament zrobił.

DYPŁOWICZ. (na stronie cicho) A mnie Wulkę zapisał.

CHORAŻY. (krzykliwe) Milczeć mi! żydzie — jeść! tu! jeść! Jesteś, żebyś mi służył, nie żebyś mi radził. — Jeść, do stu tysięcy basałyków... bo karczme spalę!

SZMUL. (ucieka, Książ goni za nim do alkierza.)

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Tadeusz Kościuszko i rozbiór Polski
przez Franciszka Rychlickiego. Nakładem Autora. Kraków
Str. 516. 1872.

Przebiegając ostatnie karty dziejów powszechnych, nigdzie nie napotykamy sympatyczniejszej, popularniejszej postaci nad Tadeusza Kościuszkę.

Rzadka skromność, prostota dziecka, gorąca miłość świętej sprawy wolności, a dusza tkliwa obok nieustraszonego męstwa i wysokich talentów: oto cnoty, które naszemu bohaterowi zjednały serca i szacunek obcych nawet narodów, a w ojczyźnie stworzyły z niego postać legendową, dobrze znaną pod ubogą strzechą wieśniaka. „Imię jego“ — są słowa Lafayette’a — „należy do całego cywilizowanego świata, a jego cnoty są całej ludzkości własnością!“ Wielu też bardzo autorów swoich i obcych kreśliło nam jego życiorysy. Prace te jednak nie zamykały w sobie najczęściej żadnej całości, ograniczały się zaledwie na oddanie kilku tylko momentów, lub, co najwięcej, pewnego okresu z życia bohatera. Dopiero w roku 1866 pojawił się pierwszy zeszyt wybornego dzieła L. Siemieńskiego: „Żywot Tad. Kościuszki“, pracy przypominającej wprawdzie bardziej ciekawy romans historyczny, niż badania krytyczne, ale rozświecającej wiele szczegółów przedtem zupełnie nieznanych. L. Siemieński doprowadził życiorys Kościuszki zaledwie do chwili wybuchu powstania w Krakowie w roku 1794, dalszy ciąg jego zajmującego dzieła z niewiadomych nam przyczyn dotąd nie wyszedł z pod prasy. Toż skwapliwie wzięliśmy do rąk wyżej zatytułowaną książkę p. Rychlickiego, spodziewając się w tejże znaleźć wierny wizerunek tej tak pięknej i szlachetnej postaci.

Autor, dziś już starzec ośmdziesiąttrzyletni, podrastającym był pacholęciem w epoce bitwy pod Racławicami. Wzrósł i wychował się wśród niezatartych jeszcze wrażeń bohaterskich czynów Kościuszki, wśród ciekawych opowiadań, niejednokrotnie słyszanych z ust swych stryjów: Antoniego i Józefa Rychlickich, którzy obydwaj do

ostatniej chwili waleczyli przy boku wodza. Rozkołysana żołnierskimi gawędami fantazja młodzieńca, zrodziła w nim myśl odtworzenia tej szlachetnej postaci, ku czemu zachęcił go jeszcze stryj Antoni, były namiestnik brygady kawalerii narodowej, oddając mu do użytku wszystkie swe papiery, odnoszące się do czasów Kościuszki.

I oto początek dzieła, o którym właśnie pomówić zamierzamy.

Autor umiał wybornie uchwycić i uwydatnić każdą piękną stroną czystego, jak kryształ charakteru Kościuszki. Szczegóły z życia czerpane już to z jego dawniejszych biografów, już to z opowiadań starych wiarusów, towarzyszków broni, spłotyły powabną tkaninę, na tle której występuje postać Naczelnika jasna, w całej swej treści.

Gdyby autor był na tem poprzestał, nie byśmy mu nie mieli do zarzucenia. Byłby wzbogacił literaturę naszą pięknie napisaną monografią, którą zaprawdę miejscami trudno odczytać bez głębokiego rozrzuśnienia; jego praca byłaby świeżym listkiem wawrzynu u skroni rycerza wolności. Lecz nie tak się stało. Autor nie zupełnie obliczywszy się z własnymi siłami, usiłuje częstokroć w długich rozwlekłych dyssertacjach skreślić nam przebieg współczesnych wypadków na arenie dyplomacji i polityki, a tu wydaje nieraz w kwestjach wielkiej wagi sąd bardzo pobieżny, zasłaniając zręcznie użytym sofizmatem brak gruntowniejszego zbadania faktów. Podobne bardzo często w tok opowiadania wplecione zboczenia dla swej płytkości, dzieła nazwanego wcale nie stawiają na wysokości badań historyczno-krytycznych, do których książka p. Rychlickiego pretensji mieć nie może, a psują tylko harmonię całości. To samo dałoby się powiedzieć o mnóstwie luźnych, bardzo ciekawych i z popiołów zapomnienia starannie odgrzebanych faktów, lecz bynajmniej do rzeczy nie należących a gwałtem wtłoczonych w ramy opowiadania.

Kościuszko-bohater znalazł w p. Rychlickim biografa, który go pojął gorącym sercem ale nie zupełnie

może wniknął w myśl jego. Wiele już dotąd słyszeliśmy o jego bohaterstwie, o jego cnotach, lecz mało nam są znane jego dążenia, jego przekonania polityczne, a przecież on w roku 1794 jako najwyższy Naczelnik trzymał w swym ręku wszystkie słabe nici rokowań dyplomatycznych a równocześnie silną ujął dłoń ster całej administracji wojskowej i cywilnej. Nikt dotąd nie ocenił z fachową ścisłością jego działań strategicznych. Kościuszko-wódz, Kościuszko-polityk czeka jeszcze sądu wobec trybunału historyi.

Uwagi, które nam się tu nasunęły, nie czynią najmniejszej ujmy dziełu p. Rychlickiego, nie myślimy bowiem sięgać po za zakres, jaki sobie sam autor zaznaczył, owszem jak najserdeczniej możemy je zalecić publiczności. Niektóre epizody, jak np. bitwa Maciejowicka, jest tam opowiedziana z taką prawdą, z taką werwą młodzieńczą, że czytelnik czuje się jak gdyby przeniesiony między szeregi walczących, śledzi za najdrobniejszymi ruchami nieprzyjaciela i wraz z wodzem upada pod brzemieniem fatalizmu. Ta prostota w opowiadaniu, ta synowska miłość, z jaką autor usiłuje najdrobniejszy rys charakteru Kościuszki w najpiękniejszym postawić świetle, sprawia, że życzylibyśmy sobie widzieć tę książkę jak najczęściej w rękach młodzieży, dla której ona będzie skarbnicą cnót obywatelskich, tak świetnie przez Kościuszkę reprezentowanych.

S.

Z estetyki i z życia przez Wł. Łozińskiego. Lwów. Nakład Seifaartha i Czajkowskiego. Str. 215. 8-vo. 1872.

Jest pewna zasadnicza, głęboka różnica w patrzeniu na życie i naturę pomiędzy wiekiem naszym a całą drugą ubiegłych. Zmysły, owo wyłączone narzędzie obserwacji w świecie starożytnym i helleńsko-klasycznym, poszły w służbę innej siły, która przedziera się co prędzej przez zewnętrzną tkanę formy, aby dotrzeć snadnie do istoty rzeczy uwiecznionej w zmysłowym kształcie — do idei. Forma postradała swój wyłączny interes — wiek nasz się uduchowiał tak dalece, że straciliśmy nawet poczucie formy, ową tkliwość zmysłowych momentów duszy na to, co podpada wprost pod obserwację zmysłów. W gonitwie za duchową rdzenią wszelkiego kształtu, łóżymy mało baczenia na sam kształt i ztąd to rodzi się w pewnych umysłach sceptycyzm estetyczny, twierdzący, że nie mamy już w duszy poczucia piękna, bo życie nasze — to życie form i stosunków towarzyskich — pozbawione jest znamion głębszej tkliwości na formy estetyczne, bo nie lubimy malowniczości ani fantazyi we wszystkim, co nas otacza i dokąd te pierwiastki estetyczne — malowniczość i fantazyę — moglibyśmy wnieść sami. Ubieramy się brzydko, mieszkamy w „szufladkach“, jak to złośliwie i typowo nazwał Vischer, zacieramy piętna charakterystyczne i żywy koloryt każdej rzeczy. Doprawdy da się na papier przelać wiele sentymentalnych aforyzmów o tem zniknięciu form pięknych z życia i zagubieniu wytwornego smaku dawnych czasów, z których nam zostały Partenon i Kolosseum, głowa Jowisza i grupa Laokona, kościół św. Marka i Alhambra... W takiej tęsknocie romantycznej tkwi wiele poezyi, ale mało prawdy... Jakto, miałaby doprawdy smak XIX. wieku być mniej estetycznym, jak dawniej?... tkliwość na piękno mniej dziś powszechną, mniej głęboką?... miałby doprawdy smak dawniejszy więcej znamion wytwornych i właściwej poetyczności?... Sądźmy, że nie... Jakkolwiek w sferze piękna potężną rolę odgrywa kształt i malowniczość jego linii, to mimo to jest ono zawsze ideą duszy, a więc tkwią w nim przeważnie żywioły duchowe. Można mieć piękną duszę i szczere poczucie estetyczne a mimo to estetyczność przenosić z formy — w ideę. I tak uczy-

niła nasza epoka. Każda myśl, w której tkwi pierwiastek piękna, znajduje głębokie echo w duszy dzisiejszego społeczeństwa, jakkolwiek nie dajemy form malowniczych jego życiu, właśnie dla tego, że ta malowniczość zewnętrznego kształtu nie wyczerpuje istoty piękna, będąc tylko jednym z jego składowych czynników. Jeżeli chodzi o zmysł dekoracyjny, to jest on rzeczywiście w naszej epoce mniej rozwiniętym, jak w czasach, kiedy budowano cerkwie bizantyńskie; jeżeli chodzi o zmysł dla plastyki, to jest on mniej rozwiniętym, jak w epoce rzeźby greckiej; ale jeżeli chodzi o zmysł estetyczny w najwyższym jego znaczeniu dopatrujący się w każdym objawie zewnętrznym echa duchowej piękności, odbłyśku idei pięknej — to wiek XIX. jest najestetyczniejszym. Dopiero dzisiaj wszystko, co ma w sobie jakikolwiek pierwiastek piękna, jakiegokolwiek znajmie wytwornego smaku, podoba się ogólnie. Dla excentrycznej rozrywki wprawdzie słuchamy czasem aryetki Offenbacha, ale nie zapominamy o wielkich zasługach tego „brzydkiego“ grzesznika, jakim chcą mieć wiek XIX... Bo i któryżto wiek wygrzebał z kroniki czasów Szekspira, który wiek rozgłosił sławę Danta i Calderona aż do strzechy wieśniaczej?... który płaci tysiącami za krédkę Ruysdaela i szkice Michała Anioła?... który czas wygrzał na swoim łonie piękną myśl Winkelmanna i we wzniosłej prostocie sztuki greckiej uznał zbliżenie do ideału?... który to czas wreszcie wydał Mozarta i Beethovena, jaki czas wydał Goetego, którego dusza sama była najidealniejszym sprzężeniem natury ze sztuką?... Wszystko to uczynił w pierwszej swojej połowie wiek XIX. a przyznacie, że takiego gwałtownego zwrotu umysłów na polu estetycznej wrażliwości nie ma w ostatnich czasach, aby można twierdzić, że w ostatniem np. dwudziestolecie zagubione zostało doszczętnie owo zrozumienie estetyczności. Jeżeli formy naszego życia towarzyskiego przedstawiają mniej barwy i fantazyi, to tylko dowodzi, że przedarliśmy się przez formę do idei, że zrozumieliśmy najgłębszy szept ducha w dziedzinie piękna, bo myśl piękna. Jeżeli wiek Periklesa i Leonarda da Vinci był bardziej pierwotnie twórczym, to estetyczność naszego jest więcej kontemplacyjną, ale nie mniej czułą. Ów sceptycyzm estetyczny nie jest wadą książki p. Ł., ale stanowi jej treść i cechę, dlatego uważaliśmy za obowiązek w obec prawdy podnieść ten zdaniem naszym zasadniczy paradoks w sądzie p. Ł., ażeby równocześnie zawtóżyć jego szlachetnym tendencyom, gdy mówi o potrzebie kształcenia delikatnego smaku w społeczeństwie, o potrzebie żywiołów idealnych w życiu, kiedy nas wzywa abyśmy przeniknęli jego formy estetycznością i na świat patrzyli piękną duszą. Wskazanie na często w życiu spotykany trywializm form i upodobanie, na płaskość konwersacyi salonowej, na skrupowanie konwencyonalizmem wszelkiej oryginalnej wyrazistości charakteru, jest myślą bardzo płodną i szlachetną a ona jest nicią przewodnią p. Ł. W tem leży wysoka cena jego książki. O wiele słabszą jej stroną jest za to usiłowanie przeprowadzenia paraleli pomiędzy naszym wiekiem a ubiegłymi pod względem obyczajów i charakterystyki społecznego życia na tle tej instytucyi towarzyskiej, którą nazywa „kwiatem“ pożycia ludzkiego — na tle salonu. Tu zabrakło p. Ł. głębszego obeznania się z historią obyczajową tak naszego, jak innych narodów i dlatego w charakterystyce różnych czasów zamknąć się musiał w sferze utartych komunalów, bez oparcia ich na gruntowniejszej historycznej podstawie. Stan obyczajowy każdej epoki jest wpływem tych wszystkich czynników, z których się tworzą dzieje i w nich to znaleźć można jedynie dostateczne wskazówki na scharakteryzowanie każdego rysu społecznej fizjonomii. A szkoda, że ta część książki p. Ł. jest słabo opra-

cowaną, bo taki temat, wysnućia obyczajowej charakterystyki i każdorazowego smaku z czynników historycznych życia byłby bardzo wdzięcznym. Dlatego to „historia“ salonów u p. Ł. nie wskazuje nigdzie, w czemto się właściwie objawił ten bez wątpienia rozległy ich wpływ cywilizacyjny na ruch umysłowy każdego czasu i idealne jego objawy tj. na literaturę i sztukę. Przypomnieć nam, że w tym a tym salonie pili herbatkę ci a ci poeci i uczeni, to doprawdy za mało... Jeżeli była jaka łączność psychologiczna pomiędzy prądami umysłowymi a salo-
nem w hotelu Rambouillet, Racheli Levin, pani Scudery lub Récamier, to należało wykazać gruntowniej

to oddziaływanie a przedmiot zyskałby wiele interesu, książka wiele wartości. Teraz w niej brakuje rozsnucia tych wszystkich delikatnych nitek, które wiązały życie z ideami czasów a wizerunek obyczajowy jest połowicznym, zewnętrznym... Jakkolwiek więc ta część i to najznaczniejsza książki p. Ł. ma tylko wartość kronikarskiego przypomnienia a nie literackiego studium, to zawsze jego dziełko przyniesie bardzo wiele pożytku, jeżeli piękne czytelniczki nie poprzestaną na odczytaniu miłych kartek, ale pomyślą nad przeniesieniem w codzienne życie ideałów p. Ł.

Z.

KORESPONDENCYE.

Kraków w Styczniu.

(Słowo wstępne. — Przegląd sil. — Właściwości krakowskie. — Braki i zasoby.)

Ogólny głos i wola w całej Polsce odezwały się za tem, iżby rok bieżący był rokiem skupienia, opamiętania i wejścia w siebie w celu nadania żywszego prądu wszelkim pracom ku odrodzeniu społeczeństwa i wzmoczeniu sił dążącym. Równocześnie ze smutnym jubileuszem upadku Polski zobaczyliśmy obraz podobny do naszych klęsk i upokorzeń, jako skutki próżnego junactwa, lekkomyślności i zepsucia, we Francji. Zaprawdę trudno o silniejsze memento, jak to, dane nam przez współczesną historję. Opamiętanie zatem, świadome i dojrzałe ocknięcie się, nie będzie odtąd, można tużyc. frazesem, ale stanie się ciałem, rozpocznie się praca rolnika wszędzie, gdzie gleba zaniedbaną była lub za długo ugorowała. Powinno więc przebudzić się i piśmiennictwo, które od kilku lat, wyjąwszy jedną Warszawę, w dziwną zaczęło popadać niemoc. Jest to bez wątpienia skutek ogólnego rozstroju i apatycznego niesmaku, w które społeczeństwo nasze peryodycznie zapada; lecz piśmiennictwo powinno pierwsze, jako sięgające głębin narodowego ducha, ocknąć się i na społeczeństwo oddziaływać. Niechajże *Świt* pomaga tu, jako może.

Siły u nas są, pracownicy są, niebrak i mistrzów, przecież niesporo nam idzie, a jeżeli gdzie to w Krakowie nad symptomem tym zastanawiać się można i należy. Nie sięgając już po za epokę r. 1863, ale przed kilku laty zdawało się, że miasto grobów poczyną się ożywiać; obok ruchu w innych sferach przybyły dwa ogniska dla potrzeb umysłowych: literacko-beletrystyczne czasopismo *Kalina* i towarzystwo literacko-artystyczne z trzema oddziałami dla literatury, malarstwa, rzeźby i muzyki. Po dwóch już latach jednak zniknęły, pozostało tylko, co przedtem było. Nasuwa się więc pozornie słuszna uwaga, że nie było tam warunków żywotnych, że nie odpowiadały one potrzebom istotnym. Lecz o żywotności instytucyj stanowią ludzie — otóż wszyscy niemal ludzie którzy tam byli czynni, odznaczają się w różnych zakresach umysłowej pracy. Co zaś do potrzeby, to w świecie tym literatury i sztuki codziennie i powszechne słyszymy utyskiwania na brak organu, na brak łączności i skupienia, oraz żal, że nieutrzymano tego, co już było w związku, gdy to co jest, widocznie jest niedostatecznym.

Instytucye i ogniska, których mamy wiele, nie oddziaływają na społeczeństwo miasta naszego i kraju w tym stopniu, jakby mogły i powinny, być może dlatego, że ich jest wiele, a każda zamknięta w sobie, odosobniona, każda ograniczona na pewną część tylko społeczeństwa. Są zapewne i inne jeszcze tego przyczyny, o których nieraz mówić mi wypadnie — lecz niemniej wszystkie one w swoim zakresie pożytecznie działają, jak to krótki ich przegląd okaże.

Jako piastuny nauk ściślejszych wymienić najpierw wypada Towarzystwo naukowe, lekarskie i należące do obu siły przez Uniwersytet dostarczane. Towarzystwo naukowe gromadzące zbiory i bibliotekę, podejmujące poważne wydawnictwa dokumentów historycznych, ogłaszające w rocznikach, zalegających niestęty półki, prace umiejętne, miało zawsze to zadanie, które na szerszy rozmiar przyszłej Akademii ma przypaść, uprawę teorii nauki dla nauki; z potrzebami więc bieżącymi niewiele ma łączności. Pozostawała po za niem, bez łącznika, cała masa pracowników umysłowych, a tem bardziej odosobnione na wysokości stanowisko zajmie ono jako Akademia. Towarzystwo lekarskie okazuje dosyć żywotności na swoich posiedzeniach, a przeciw swego pisma, *Przegląd lekarski*, niezdolało zabezpieczyć, aż go pp. dr. Janikowski i Lutostański wzięli od nowego roku pod swój kierunek i na własną odpowiedzialność. Tutaj miejsce wspomnieć, że pomimo oddziału przyrodniczego w Towarzystwie naukowem i pomimo Towarzystwa lekarskiego umiejętności przyrodnicze w szerszym zakresie nie mają u nas reprezentantów. Cała nowoczesna filozofia oparta na wynikach badań przyrodniczych, jest polem zaniedbanem, i pomimo, że wielu liczy zwolenników, nie pamiętam, żeby rozbiór kwestyj przez tę filozofią wnoszonych był kiedy w tych towarzystwach przedmiotem obrad ludzi kompetentnych. W tej mierze Kraków wygląda, jakby się bał zająć w oczy pozytywizmowi i materializmowi, unikając z nimi walki — na broń naukową.

Dla literatury i poezji polskiej w stolicy Polski nie ma organu, a dzienniki polityczne ani chcą, ani mogą pełnić tej służby.

Dla sztuk pięknych mamy kilka ognisk: Szkoła sztuk pięknych, Towarzystwo sztuk pięknych, Teatr, Muza. Szkoła krakowska ma już swoją świetną tradycję, wydała i wydaje znakomitych artystów, ma zdolnych profesorów — lecz mimo to niema właściwego i własnego charakteru, niema jednolitości kierunku, który nadać może tylko ster genialnego, oryginalnego artysty. Pojawiła się też w zeszłym roku myśl oddania dyrekcji honorowej Janowi Matejce — lecz nie wiem, jaki los tego projektu. Towarzystwo sztuk pięknych uczyniło chwalebny krok naprzód przez otwarcie wystawy nieustającej obrazów — mimo to zaczyna się rozpręgać; liczba akcyonaryuszów się zmniejsza a wystawy coraz jałowsze. Powody są tego liczne: pierwotny grzech Towarzystwa, statut nepotyczny, oddający ster jednej sferze ludzi, którzy się sami uzupełniają bez udziału artystów i akcyonaryuszów, w skutek czego wzrasta niezadowolenie, a celniejsi artyści, jak Matejko, Gryglewski, Kotsis, Jabłoński, Cynk, Towarzystwo opuścili i prac swoich od roku na wystawę krakowską nie dają. Na sumieniu Dyrekcji leży również odrzucenie porozumienia się do wspólnej pracy z Towa-

rzystwem lwowskiem, pomimo że delegaci pp. Juliusz Starkel i hr. Borkowski wszelkie czynili ustępstwa. Jeżeli Towarzystwo nie zreformuje się — pocnie już tylko węgutować i wywoła powstanie innego. Oddział muzyczny szkoły sztuk pięknych mało daje znaków życia na zewnątrz — trudno więc sądzić o pracy jego i kierunku artystycznym.

Takie stosunki literatury i sztuki u nas uczynią wam zrozumiałem przytoczone na początku ogólne utyskiwanie na brak skupienia i organu. Ale idźmy dalej.

Teatr, jedynem jest miejscem publicznem wspólnej zabawy dla Krakowa. Dyrekcya hr. Skorupki miała swój peryod świetny, potem zaniedbanie; obecnie p. Koźmian czyni usiłowania ku naprawie i podźwignięciu. Siły sceniczne są liczne i wyborowe, repertuar znacznie ulepszony (Fredro, Szillera „Śmierć Wallensteina“, „Hamlet“, Mickiewicz „Konfederaci Barscy“) publiczność każdym razem napelnia teatr, mamy stały konkurs dramatyczny, powołano komitet literacki niby „beirat“ Dyrekcji dla oceny sztuk oryginalnych, wychodzi organ teatralny — lecz i tu krakowskie grzechy szkodzą dobrej sprawie. Dyrekcya nawykła do nieobecności w Krakowie wszelkiej opozycji, lekceważy każde zdanie krytyczne i pomija „aktorami“, o których wyższości nad krakowskimi śmie ktoś słowo powiedzieć; za temidą nieporozumienia literackie i artystyczne — słowem jakby rozmyślnie dążono do tego, ażeby rozbić wszelkie skupienie sił, zakłócać wszelką harmonię.

„Muza“, towarzystwo muzyczne z małych początków, rozwija się bardzo pomyślnie; koncerty, stałe pro-

dukcye miesięczne, przedstawianie operetek, systematyczna nauka młodych adeptów — świadczą o niem chlubnie. Lecz cóż powiecie na to, że oprócz rodzin członków na wieczory towarzystwa przybywa zaledwie kilka osób za płatnymi biletami? a większa część ludności ani wie, czy żyje w Krakowie jaka „Muza“. Czemu tak jest? Będziemy o tem nieraz mówili z zupełną otwartością.

Dzisiaj powiem tylko o dalszych naszych zasobach. Na uwagę zasługuje Nowe Muzeum techniczno-przemysłowe, a w nim kursa dla kobiet wszelkich nauk i osobny kurs handlowy, w niedzielę zaś dwa bezpłatne odczyty. Jest to ucieczka dla rodzin z innych ziem polskich tu się osiedlających — a krakowskie panie, czy tego nie potrzebują? boję się wyrokować.

Towarzystwo pedagogiczne rozbudza po raz pierwszy w Galicji stan nauczycielski.

A cóż dopiero gdybym chciał wyliczać ludzi, którzy sami i z swojemi pracownikami stanowiliby gdzieindziej punkt środkowy ożywionego ruchu jak np. Matejko i cała plejada artystów, Wincenty Pol, czyuny bibliotekarz dr. Estreicher, niezmordowany wydawca Nowolecki, dyrektor Muzeum Baraniecki, Mieczysław Pawlikowski, Asnyk, Bałucki, Bełcikowski?... A przecież w Krakowie trafić do tych ludzi trudno, oni sami prawie się nie widują ze sobą. Ale widzicie, że w Krakowie jest w czem zaczerpnąć — a danie wyrazu każdej potrzebie, pracy i postępowi wśród tych sił rozlicznych, będzie przedmiotem moich listów. Kiedy nie mamy tu własnego organu, potrzeba żeby nas *Świt* łączył swoimi promieniami. *Asz.*

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(„*Pracowici próźniacy*“, komedia w trzech aktach Michała Bałuckiego. — Benefis panny Deryng.)

Najnowsza komedia p. B. osnuwa się na tle najbardziej żywotnej dziś dla społeczeństwa kwestyi, wskazując i ostrzegając bezwzględnej, chociaż pogodnej satyry ośmieszając chorobę moralną, która od lat kilku wyczerpuje zdrowie społeczności. Zanim jakiegokolwiek nowo stworzone hasło przyjmie się w myślącym ogóle, przejść musi krytyczną dla siebie fazę, w której tkwi na wszystkich ustach, jest przedmiotem powszechnego uznania i apoteozy a nie realizuje się faktami codziennego życia. Są to okresy emfaticznego krzykactwa otulania się we wspaniałą draperję idei i poprzestawania na słowach — są to chwile pełne właściwego sobie komizmu, będące bogatą skarbnicą dla satyry obyczajowej. Trwożyć się takimi objawami nie należy — naturalną logiką rzeczy od formy społeczeństwo zawsze przejdzie do istoty. Gdy się nam już znudzi krzyczeć: pracujmy! zaczniemy pracować. P. B., którego talentu właściwą jest cecha ujęcie zawsze przedmiotu żywotnego do komedii i podłożenie pod zewnętrzną igraszkę wesołych sytuacji głębszego tła myśli, w „*Pracowitych próźniakach*“ odmalował takie właśnie społeczeństwo przejściowe, które już poczuło, że pracować należy, wstydzi się przyznać sobie, że próżnuje, ale w gruncie rzeczy do jakiegoś czasu... jeszcze — jeszcze pozwala sobie nie robić!.. Z takich gamenów idei wyrabia się kiedyś narzędzia pracy, ale dotychczas są pasożytami. Intrygę komedii osnuł p. B. na bardzo mozaikowem tle mnogich a różnolitych charakterów, których wspólnem jest piętnem jedynie owo wewnętrzne przeświadczenie, że prowadzą życie gorączkowej pracy, kiedy właściwie próżnują. Nikt tu nie spełnia obowiązków swej pozycji w społeczeństwie, dlatego, że nie rozumie ich natury, oddawszy

się na posługi tysiącznych interesików, mających pozory płodnego zajęcia a będących szeregiem błahostek. Przyznacie, że temat wdzięczny i bogaty w żywioły szczerze konieczne a łatwo pojąć, że p. B., który umie tak zręcznie w kreśleniu charakterów komicznych zatrzymać się zawsze na pochyłości wiodącej do karykatury, musiał i tu stworzyć postacie typowe i pełne naturalnych znamion. Mimo to jednak, że każdy charakter tej komedii nosi świeże piętno życia a kompozycya ich promieni dowcipem i właściwem ujęciem tła psychicznego, przecież wielobarwna ta mozaika osnuwa się w biegu rzeczy jakąś mgłą, zacierającą przejrzystość rysunku i charakterystyczną plastykę kształtów. Wadą „*Pracowitych próźniaków*“ jest oryginalna (to prawda)!, ale łamiąca warunki jedności myśli „*extrawagancya akeyi*“. Pełnia życia drgającego w tej komedii wylewa się po za miarę ruchu dozwolonego prawidłowością estetyki; w tem rozpasaniu się akeyi ginie symetryczność obrazu, jasność układu, wewnętrzna konieczność pewnych zawiłań, które przestają wówczas być niezbędnym wyrazem istoty psychicznej działających osób a są tylko arabskimi przyklejonymi zewnątrznie do charakterów. P. B. w „*Pracowitych próźniakach*“ widocznie pragnął być twórcą nowej formy a rozminął się ze starem a zdrowym prawidłem wszelkiej kompozycji dramatycznej. W sztuce życie spromienia się zawsze w kilku wyrazistych, jak rzeźba, sytuacjach, rzucających swoją prostotą pełną siły widok na całą duszę postaci; ku pewnym jej momentom skierowane jest całe światło i one to wysuwają się po nad tło działania, w nich kulminuje dialog, w nich znajduje charakter swą głębokość psychiczną i najsilniejszy wyraz swej istoty. W życiu tak się nie dzieje — życie rzeczywistości zanadto jest roz-

pryśniętem a komedia p. B. nad miarę właśnie wkacza w to życie — realizm tu za silny, a tem samem pozbawiony jedności myśli i kulminacyjnego szczytu akcji. Brak tu owej syntezy estetycznej tak w działaniu, jak w charakterach, która wnosi do sztuki pierwiastek kojarzący, idealny. Z takiego Arystofanowego rozproszenia ruchu dramatycznego na tysiące zbędnych szczegółów wypływa zarówno brak wybitniejszych chwil w działaniu, okuzujących w skupionej pełni przewodnią myśl intrygi, jak i pewna konwencyonalna pobieżność w nakreśleniu samych postaci, które nie mają pola do całkowitego wyrażenia się. A w sztuce ważniejszą potęgą jest zawsze charakter, niżeli akcja; bo w charakterze tkwi prawda ludzka, pewien żywioł etyczny lub filozoficzny, gdy każda akcja, (jeżeli nie jest historią!) bywa tylko zmyśleniem fantazyi, powabną dekoracją, zwierciadłem dla odbicia duchowej strony działających osób. Postacie Saturnina, Lola, Prezesowicza, Doktora są silne, typowe, w swych konturach wyborne a jednak brak im organicznego rozwinięcia. Za to kobiety są tu wszystkie z wyjątkiem Radezyny umieszczone w jakimś niewyraźnym półprzeźroczu, tak iż nie podobna wysnuć sobie pewnego wyobrażenia o ich naturze, patrząc na nie z punktu widzenia tak etycznego, jak dramatycznego. Dziwne to bardzo, że malatura tych postaci nie powiodła się panu B., który w swych powieściach dał nam szereg najwdzięczniejszych typów niewieści o rzadkiej wyrazistości i poezji.

Po za tymi brakami jest komedia p. B. pełną szczęśliwie uchwyconych rysów obyczajowych i tryskającego dowcipu, pod którego maską kryje się zawsze myśl głębsza i żywotna a w rzucanych z lekką satyrycznych aforyzmach zawiera się bystre studyum patologiczne naszego społeczeństwa. Naszem zdaniem uważać należy p. B. za komedyopisarza po Fredrze ojcu najdowcipniejszego a po Korzeniowskim za najwięcej myślącego.

Przedstawienie tej komedii na scenie naszej zacieria wiele żywiołu typowego w postaciach i nie wychodzi po za granice konwencyonalności z wyjątkiem p. Natorskiego (Doktor) i pani Linkowskiej (Radezyny). Pierwszy wyzyskał wszystkie strony komiczne roli, rozwinął bogaty zasób szerego a przytem delikatnego humoru i stworzył postać miłą, żyjącą na wskrós, prawdziwą do głębi. Pani L. była nieocenioną przenoszącą na scenę z mistrzowską wiernością typ zawsze spotykany w życiu a nigdy się nie starzejący kobiety oddanej gorączkowo grze intryg, komerażów i plotek, żyjącej przy pozorach rygorysty obyczajowego kosztem dobrej sławy bliźnich.

Dla przyjaciół prawdziwej sztuki zbliża się przyjemna chwila, w której będą mogli złożyć hołd talentowi i pracy młodziutkiej a najsympatyczniejszej naszej artystki panny Deryng, na której benefis d. 7. b. m.

przedstawionym będzie 5-aktowy dramat hr. H. Łączyńskiego: „Renegat.“ Publiczność zna pannę D. patrząc na nią ciągle, ja tylko skorzystam dziś z danej sposobności, ażeby w kilku słowach scharakteryzować ogólnie naturę jej rzadkiego talentu. Co też czyni grę panny D. tak powabną, tak pełną spokojnego a razem do głębi przejmującego uroku? To, mojem zdaniem, że jest ona na wskrós wewnętrzną.

Jestto ta niezwykła u artystów, ale będąca wtedy dla nich pasportem do zdobycia wyżyn, pierwotność uczucia i głębia duchowego wyrazu — i one to czynią grę panny D. nieustającym, bezpośrednim wydzielaniem się duszy, całkowitem uleganiem przyspieszonemu ruchowi własnego serca. Cała istota artystki wchodzi w jej grę jako wszechstronnie ożywiony czynnik — najczystsza jednak subiektywność uczucia nie psuje tu nigdy idealnych cech sztuki. W tem zupełnem przejęciu się, w tym tajemniczym oddźwięku czystej duszy leży powód, dla którego gra panny D. na wskrós porusza nas, zajmuje myśl — ukazując jej prawdę psychologiczną, owładając wyobraźnię i uczucie — będąc wyrazem rzetelnego wdzięku, wywołując przyjemne zadowolenie — będąc pełną zdrowia, naturalnej swobody i rozumnego umiarkowania, daleką od każdego zewnętrznego tylko efektu. Ludzi skłonnych do usposobień marzycielskich ujmuje tu tkliwa rzewność i poetyczny koloryt, ludzi pozytywnych urok zdrowej natury i pierwotna siła życia. Gra panny D. jest ciąglem odbieraniem wrażeń i ich uwydatnianiem, przez co nas wprowadza w samą prawdę życia, tylko oczyszczoną z trywializmu, pogodną, jak sfera ideału. Taką była panna D. w rolach tragicznych Joanny Talbot, Luizy Müller... Postacie jej naiwne tchną również mięką słodyczą i duchowością wyrazu. Wdzięk jest czystością duszy a ta znowu jest naiwnością; dlatego zawsze naiwność musi być wdzięczną i tem bywa piękniejszą, im bardziej zaczepia o duszę. Rozumie tę tajemnicę sztuki całkowicie panna D. Nie idealizuje ona z wiedzą swych postaci, przelewa w nie owszem najczystsza naturalność i prostotę a mimo to przesiąknięte są one kolorytem na wskrós idealnym, bo też poezya płynie zawsze z prostoty i czystości serca, ze stanu więc duszy, który najlepiej pojmuje panna D. W chwilach jednak wzburzonej namiętności czuć u niej jeszcze pewien brak wystudowania wszystkich odcieni psychicznych, a w ożywionym potoku mowy brak plastyki słowa, wiążącej ze sobą wyrazy przeżycia i wybitnie. Tu potrzebuje jeszcze panna D. wykształcić w sobie siłę panowania nad porywami bezpośredniego uczucia, bo w tym spokoju tragicznym, unoszącym się po nad burzę wewnętrzną serca, leży najwyższa harmonia sztuki. Sądźmy, że w dniu benefisu panny D. cała publiczność zgromadzi się chętnie w teatrze, ażeby poprzeć szczere usiłowania skromnej a tak utalentowanej artystki.

Bronisław Zawadzki.

PRZEGŁĄD MUZYCZNY.

Rozpoczynając w łamach *Switu* stałą kronikę lwowskiego ruchu muzycznego poprzedzimy szereg bieżących sprawozdań krótką uwagą wstępną. Zamierzamy w rozbiórach naszych przenosić się zawsze na pole krytyki rozleglejszej i oceniając programy artystyczne koncertów przypominać stale czytelnikom stanowisko każdego utworu i kompozytora w powszechnym rozwoju muzyki, podawać szerszą charakterystykę ich talentu i wartości, ażeby z czasem te nasze sprawozdania powiązały się w pewną

organiczną całość, mającą cechę historycznych pogadek o muzyce w ogóle.

A teraz przechodzimy wprost do kroniki bieżącej, a mianowicie do szóstego z kolei wieczorku muzycznego, który jak zwykle odbył się pod kierunkiem dr. K. Mikulego d. 18. Stycznia w sali Zakładu Ossolińskich. Program składał się z następujących numerów: 1) Kwartet smyczkowy Mozarta C-dur. 2) Pieśni Brahmsa (p. B.) 3) Variations sérieuses Mendelssohna (panna

Ost.) 4) Arya z „Niemej“ Auber (p. B.) 5) Tańce węgierskie Brahmsa (panna R. i Dyr. Mikuli.)

Kwartet Mozarta jest dziełem godnym tak wspaniałego i zarazem wszechstronnego geniuszu.

Na każdym polu muzycznej kompozycji pozostawił Mozart arcydzieła, których nieuznawanie może być jedynie dowodem bardzo ograniczonego poczucia piękna, przewrotnych wyobrażeń artystycznych lub (co gorzej!) złej woli i zarozumiałości. Muzykę kościelną wzbogacił wielu mszami, niesporami i sławnym „Requiem“, które do największych arcydzieł w tym zakresie policzyć należy. Symfonie Mozarta, bogatsze myślą i instrumentacją, szersze formą od Haydenowskich, były wzorami, na których się najpotężniejszy poeta tonów, Beethoven wykształcił. Cóż zresztą powiem o operze, której twórcą w niemieckim stylu był Mozart? Powiedziano o nim: „Jak długo sztuka muzyki trwać będzie, jak długo jej podstawami będą rytm, melodia i harmonia, tak długo „Don Juan“ pierwsze będzie zajmował miejsce w dziedzinie opery.“

Mozart równym jest mistrzem i w utworach o szcuplejszej formie i łatwiejszych efektach w kwartecie, w Trio i kompozycjach solowych. Rzewny, spokojny, pełen uczucia w melodii, pełen gracyi w przyozdobieniu pierwszy podniósł grę i kompozycję fortepianową do wyżyn prawdziwej sztuki. Nie ulega wątpliwości, że tam, gdzie się cześć myśli pokrywa bezmyślnymi pasażami, lub jakimikolwiek efektami, niegodnymi szlachetnego twórcy i poniżającymi sztukę, tam Mozart jako zastarzały, bywa wykreślany z rzędu arcymistrzów. A jednak pytam, czy celem muzyki jest w zadziw wprowadzać zmysły?

Kwartet powyższy wykonany był prócz małych ustępów menuetu wzorowo, cieniowany bardzo subtelnie; przeprowadzenie pojedynczych myśli na każdym instrumencie było jasne i czyste, Andante wiało prawdziwym ciepłem, Allegro tryskało gorącym życiem, a trudności leżące w podwójnych pasażach 1szych i 2gich skrzypiec pokonano zupełnie.

Pieśni Brahmsa wdzięczne swoją prostotą, pełne rzewnej i uczuciowej melodii, o wcale oryginalnych zwrotach harmonicznych, odśpiewał p. B. z całą pełnią uczucia, czystą intonacją i zręcznym cieniowaniem. Temat pieśni G-moll przypomina „Winterlied“ Mendelssohna, którego „Variations sérieuses“ odegrała pna Ost. Między utworami fortepianowymi Mendelssohna, jest to jeden z najmniej wdzięcznych utworów.

Najwyższą w obec muzyki zasługę położył Mendelssohn swojemi oratoriami: „Elias“ i „Paweł.“ Na wzorach Händla i Bacha wykształcony, umiał on połączyć kościelną powagę, z zastosowaniem nowych na polu instrumentacji wynalazków i to mu też zjednało jedno z najpierwszych miejsc w nowszej kompozycji kościelnej.

Dzieła jego wokalne z towarzyszeniem orkiestry, jako to: „Sen nocy letniej“ i inne, uwertury orkiestralne do „Ruy-Blasa“, do „Pięknej Meluzyny“ itd. po oratoriach pierwsze zajmują miejsce. Psalmi i pieśniami jego wcieliły się w lud niemiecki i mało kto bywa w Niemczech równie jemu uwielbianym. Fortepian wzbogacił on nową formą kompozycji: „pieśniami bez słów.“ Czem w poezji jest „księga pieśni“ Heinego, tem w muzyce są Mendelssohna „pieśni bez słów.“ Inne utwory pomijamy, wracając do odegranych na koncercie „Waryacji“, potrzebujących przy bogactwie swej charakterystyki nie tylko biegłości rąk, ale muzykalnie wykształconej i czującej głęboko duszy wykonawcy. Tym jednak wysokim trudnościom artystycznym niezupełnie odpowiedziała

panna O. Wiele pilnej i mozolnej pracy można było poznać w jej grze, ale tem mniej duszy i ciepła.

Kończąc rzecz o dziełach Mendelssohna, których jedyną ciemną stroną jest gorączkowy niepokój tworzenia podnieść chcemy jeszcze jego zasługi około rozszerzenia smaku muzycznego w Lipsku, przez założenie tamże w r. 1843 konserwatorium i urządzanie historycznych koncertów o programie zawsze doborowym.

Po Waryacjach Mendelssohna odśpiewał pan B. znaną a zawsze świeżą aryę z „Niemej“, za którą publiczność rzęsiłymi obdarzyła go oklaskami; zaś panna P. i dyrektor Mikuli odegrali na zakończenie „Węgierskie tańce“ Brahmsa.

Brahms należy bezspornie do najznakomitszych kompozytorów dzisiejszej doby; był on uczniem i przyjacielem Schumanna, i o nim to Schumann wyrzekł, że stanie się Messyaszem muzyki. Wspaniała to misja: nie na drodze jednak węgierskich tańców Brahms ją wypełnia, dla tego też, mówiąc o nich, nie dotykam już więcej misji. Powierzchniowa brawura i chwytanie grubych zmysłowych efektów, jest dziś cechą wielu płytkich kompozytorów. Brahms do niej nie należy; czasem napotykamy w jego utworach zwroty nienaturalne i nazbyt wyszukane, nawet w nich jednak nie czuć owej bezmyślnej napuszystości, dostrzega się tam jedynie dążność do znalezienia nowych form, nowych wyrażeń harmonicznych. Dość często je Brahms znajduje — nie zawsze z równem szczęściem.

Węgierskie jego tańce pochodzą częścią z wpływu niemieckich pieśniarzy na kierunek jego talentu, częścią z przyjaźni łączącej go z Joachinem. Jest w nich opracowanie mistrzowskie, ale widać zarazem, że nie to pole właściwej pracy dla Brahmsa.

Odegrane były z życiem i werwą, znakomicie rytmizowane, artystycznie, czysto, śpiewnie, charakterystycznie, po węgiersku, to dziko — to marząco.

Na siódmym wieczorku (25. Stycznia) słyszeliśmy utwór niemieckiej kompozytorki Fanny Haensel (siostry Mendelssohna). Trio to opracowane pięknie i zajmująco, w motywach śpiewne, w efektach fortepianowych wdzięczne, w zwrotach harmonicznych i ich zastosowaniu czasami nazbyt excentryczne — ma wiele cennych zalet — tylko nie ma piętna oryginalnej twórczości. Panna S. pokryła braki kompozycji przez grę śmiałą, pełną energii, siły i śpiewności, wspierana dobrą chęcią pp. Bruckmana i Wollmana, które jednak nie zawsze pomyślnymi wieńczyły się skutkami.

Pan C. odśpiewał dwie pieśni Moniuszki: „Kukulkę“ i „Wędrowną ptaszynę.“ w której autor zdaje się przypominał sobie w części fortepianowej „Forelle“ Szuberta, ale mu nie dorównał.

„Impromptu“ tegoż Szuberta odegrała panna D. z mniejszem powodzeniem jak dawniej „Serenadę“ Rebera.

Pieśni Fr. br. Romaszkana: „Czy ciebie kocham?“ i „Ach! gibt es den kein Vöglein mehr?“ są utworami młodego a bardzo utalentowanego kompozytora. Pierwsza z nich pełna melodii, druga bogata harmonią, obie mają wiele szlachetnej werwy i delikatnego ciepła. Czuć w nich wpływy Schumana, ale i poznać zarazem prawdziwy samorodny talent, któremu życzymy gorąco ciągłego postępu i nie zrażania się ani mozolami pracy ani temi walkami wewnętrznymi, o których mówi poeta:

„Wierz mi! Izy płyną w tem artystów niebie,

„Melodya cicha jest odgłosem grzmotu,

„Co bije w sercu.

I któż pojmie Ciebie?“

W panu C. znalazły te pieśni wysoko muzykalnie wykształconego, lecz niedość łagodnego wykonawcę. P. C.

jest spiewakiem zawsze pożądanym w utworach zbiorowych i w pewnym rodzaju solowych, wolnym od wszelkiej przesady, czułościowości i atakowania każdego tonu z osobna na wzór spiewaków nowej szkoły włoskiej — jednak za szorstkim w kierowaniu głosem.

Po wykonaniu pieśni na zakończenie wykonaną była „Sonata Onslowa“ bardzo nierównymi siłami, a jednak

kto wie, czy połączenie tych sił nie było koniecznem? Wątpię bowiem, czyby kto inny oprócz p. Mikulego mógł być skończyć Sonatę, przy rażącej nierytmiczności i słabem poczuciu taktu u egzekutorki części wioli nowej.

Prawdźcie.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Dzieje filozofii prawa i państwa przedstawione na tle dziejów cywilizacji*, napisał dr. Wł. Deisenberg. Zeszyt I. Kraków 1872. Nastąpi rozbiór.

ESTETYKA I LITERATURA. *Aesthetik als Philosophie des Schönen und der Kunst von Dr. Max Schasler*. Berlin 1871. Dotąd wyszedł tom I. obejmujący krytyczną historię estetyki od Platona aż do czasów najnowszych.

— *Le Beau dans la nature et dans les arts par P. Gaborit*. 2 tomy. Paryż 1871. Pierwszy tom określa piękno w naturze, drugi bada jego pojaw w różnych sferach sztuki.

— *Kunstgeschichte des Alterthums von dr. Fr. Reber*. Lipsk 1871. Z szczególnem uwzględnieniem architektury i budownictwa; dział plastyki i malarstwa natomiast z mniejszą troskliwością opracowany. Dzieło wyposażone 250 pięknymi drzeworytami.

POEZJA. *Połe kwiatki. Kraków 1871*. Zbiorek poezji sędziwego lekarza i b. rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Brodowicza. Pomniejsze utwory tchnące prostotą i spokojem; wiele bystrej ale pogodnej satyry.

— *Poezyi El...y* pojawi się wkrótce drugie wydanie w Krakowie.

— *Szare ptasze, poezye A. Urbańskiego*. Lwów. Vogel 1871. Kilka wierszyków ne smętną nutę wyśpiewanych ma wiele szlachetnego uczucia, wiele jednak motywów nadbyt poziomych. Nie radzimy pocieje hołdować fałszywemu sceptycyzmowi.

— *Odgłosy z gór, poezye Felicyana*. Warszawa. Gebethner i Wolf 1871. Poetyczne reminiscencye wycieczki do Tatr, łączące z niejasnością kompozycji wiele jędrnej siły w obrazowaniu i głębokie poczucie natury.

— *Antoniusz i Kleopatra*, tragedia w 5 aktach W. Szekspira, przekład Krystyna hr. Ostrowskiego. Paryż. Lacroix 1872.

— *Poesie polacche* di Teofilo Lenartowicz, przekład Hektora Mazucci. Florencia 1871.

— Mikołaj Gerbel, pisarz moskiewski wydał w Petersburgu cenne dzieło „*Poezje Słowian*.“ Są tu dokładne życiorysy wszystkich ważniejszych poetów słowiańskich wraz z przekładem ich utworów.

POWIESCI I PAMIETNIKI. *Bożek milion*, powieść p. Waleryi Marenné (Morzkowskiej), Warszawa 1872.

— *Wilkońska P. z L. Wspomnienia moje o życiu towarzyskiem w Warszawie*. Poznań 1872. Opowiadanie pełne wdzięku i zajmujących epizodów.

— *Plotki i prawdy*. Kraków 1872. Wyborne i pełne prawdziwego humoru studyum satyryczne galicyjskiego społeczeństwa.

— *Pamiętniki włóczęgi z czasów przejścia XVIII. i XIX. stulecia*, napisał Piotr Jan Bykowski. Tomów 4. Warszawa 1872.

— *Pamiętniki J. U. Niemcewicza* po raz pierwszy z autografów wydane. Obejmują wypadki między r. 1809—1820. Tomów 2. Poznań 1872.

— *Memoires du prince Pierre Dolgorukow*. Publiés après de la mort de l'auteur par un Russe. Tome II. Genève 1871. Obejmują czasy panowania carowych Anny i Elżbiety, historię spisku Golowkina, dzieje Bestużewa, pamiętniki Birena o Sybirze, charakterystykę Katarzyny II. i jej głośniejszych faworytów.

HISTORIA. *Bolesław Chrobry* napisał A. Mosbach. Poznań 1871. Tenże autor wydaje obecnie w drodze przedpłaty dzieło historyczne: „*Początki unii lubelskiej*.“

— *Bezkrólowie po Zygmuncie Augustie i elekcya króla Henryka* przez Tad. Pilińskiego. Kraków 1872.

— *(Iter florianense)*. O psalterzu floryańskim łacińsko-polsko-niemieckim, w szczególności o polskim jego dziale p. W. Nehringa. J. K. Żupański. Poznań 1871. Prostując przebrzmiałe zdanie Stan. hr. Borkowskiego dowodzi, że ten psalterz królowej Małgorzaty był własnością Maryi, siostry królowej Jadwigi a córki Ludwika węgierskiego.

— *Grundriss einer allg. Kulturgeschichte der neuesten Zeit*. J. J. Honegger. Świeżo wyszedł tom III. i IV. tego znakomitego dzieła, opierającego historyografię na badaniu obyczajów, piśmienictwa, życia społecznego i domowego ludów.

— *Johannes Hus u. König Sigmund von Dr. W. Berger*. Augsburg 1871.

— *Jul. Favre* wydaje obecnie w Paryżu dzieło: „*O rządzie 4. Września*“; tenże maż stanu zamierza wkrótce rozpocząć napisanie: „*Historii Komuny*.“

— *Beiträge zur Beantwortung der Frage nach der Nationalität des Nicolaus Copernik von R(ömer)*. Breslau. Priebatsch 8vo 1872. W przyszłym numerze powiemy o tem dziele obszerniej.

— *La science pendant le siège de Paris* par M. Ernest Saint-Edme. Paris Dentu 1871.

NAUKI SPOŁECZNE. *Przegląd krytyczny teorii zarobku* przez dr. fil. Strassburgera. Warszawa 1872.

— *Arbeit u. Kapital von Dr. F. Bitzer*. Ein Beitrag zum Verständnisse der Arbeitsfrage. Stuttgart 1871.

PEDAGOGIA. *Die Frage über Trennung der Schule von der Kirche nach den Prinzipien beurtheilt* von Ernst Katzer. Pirna 1872.

NAUKI PRZYRODNICZE. *Historia roślin* Ludwika Figuier, dzieło ozdobione 415 wizerunkami z natury wykonanymi, przełożył z francuzkiego, objaśnił i licznymi dodatkami powiększył autor: „*Flory polskiej*.“ Warszawa. 3 tomy 1872.

TEATR I SZTUKI PIĘKNE. W piątek (dnia 26go zesz. mies.) wystąpił pierwszy raz na scenie naszej pan *Lech Nwukowski*, były dyrektor teatru poznańskiego w swych rolach brawurowych Champignaca („*Motyłomania*“ Sardou) i Szczoteczki („*Junacy*“), powitany sympatycznie przez publiczność. — W *teatrze poznańskim* przedstawiono dnia 10go z. m. z powodzeniem tragedję Słowackiego „*Beatrix Cenci*“ a d. 24. t. m. Szekspira „*Romea i Julie*.“ Przygotowują zaś „*Hamleta*.“ — W *teatrze krakowskim* przedstawiona będzie wkrótce najnowsza komedia Al. Dumasa, syna, „*Princesse Georges*“ w przekładzie p. Blydowskiego i dramat Józefa Weilena: „*Hrabia Horn*.“ — W *Warszawie* przygotowują nową operę 1-aktową St. Moniuszki: „*Beata*“ i komedję oryginalną Zyg. Sarneckiego „*Bezinteresowni*“, jako pierwszą część trylogii, po której nastąpi „*Kalecy*“ i „*Umarli*.“ — *Panna Wanda Schwarzer* z Warszawy została angażowaną na sezon karnawałowy w teatrze della Fenice w Wenecyi. — D. 15. z. m. przedstawiono w paryżkim teatrze *Gaité* nową feryę J. Offenbacha z librettem W. Sardou „*Le Roi Carotte*“; d. 16. b. m. zaś w *Opera Comique* tegoż kompozytora „*Fantasio*“ ze słowami podług Alfreda de Musset. — P. *Karol Blanc* w Paryżu urządza muzeum kopii wszystkich arcydzieł pędzla rozproszonych po galeriach europejskich. — Znany rzeźbiarz warszawski p. *Syrewicz* wykonał wzorowo popiersie Fr. Chopina z marmuru kararyjskiego.

— Bawi obecnie w naszym mieście młody artysta z Warszawy p. *Stanisław Wardziński*, i dał się słyszeć w kilku tutejszych salonach, wygłaszając monologi dramatyczne, jak Bogumiła Aspisa „*Pijak*“, sceny Gustawa z „*Dziadów*“ itd. Głębokie zrozumienie i odczucie połączone z niezwykłym ogniem i pierwotną siłą są cennymi przymiotami jego talentu.

— *Die grossen Pianoforte-Virtuosen unserer Zeit aus persönlicher Bekanntschaft von Lenz*. Berlin 1872. Zwracamy uwagę na to dziełko, obejmujące ciekawe życiorysy znakomitych pianistów bieżącej chwili: Liszta, Chopina, Tausiga, Hänselta i innych.

ROZMAITOSCI. Sędziwy poeta *Seweryn Goszczyński* w bieżącym miesiącu przesiedla się z Paryża na stały pobyt do Lwowa.

— *Pomnik dla śp. Juliana Bartoszewicza*, rzeźbiony przez p. Pruszyńskiego w tych dniach odkryty został w Warszawie.

— W *College de France* otrzymali: p. Kleczkowski, b. sekretarz ambasady franc. w Chinach katedrę języka chińskiego a p. Kazimirski, tłumacz Koranu, katedrę języka arabskiego.

— D. 21. Stycznia zmarł we Wiedniu poeta *Franciszek Grillparzer* w 81 roku życia.

Od redakcyi. W przyszłym numerze *Świtu* rozpoczniemy szereg dwutygodniowych pogadanek w przedmiotach bieżących p. t. „*Promyki*.“